AS



Nr. 31
31 LIPCA 1938 ROKU
CENA 40 GROSZY

GWIAZDA Z NAD DUNAJU
urocza wiedeńska artystka filmowa Hedy Lamarr
Fot. Clarence Bull.

kalendarzyk AS sierpień 1938

Co ludzi interesuje w tym miesiącu...



1. KOŃCZĄ SIĘ ŻNIWA. Ludzie na wsi mają żniwa tylko raz do roku. Ptaki niebieskie natomiast, które nie sieją ani nie orzą, mają żniwa przez cały rok. W tym roku przeżywamy straszliwą klęskę urodzaju, wskutek czego ceny na żyto spadają. Mieliśmy w tym roku za mało klęsk elementarnych, z których większość jak powódź, zarządzenia porządkowe na wsiach i grady nie zdołały wywołać większych strat w zbiorach.

2. MARSZ SZLAKIEM PIERWSZEJ KADROWEJ. W sierpniu odbywa się tradycyjny marsz szlakiem pierwszej Kadrowej z Krakowa do Kielc. Okazuje się bowiem, że drogę z Krakowa do Kielc łatwiej jest przebyć pieszo niż samochodem.

3. ZASTĘPSTWA W BIURACH. W biurach i urzędach panuje nawał pracy. Większość bowiem urzędników wyjechała na urlopy i ci co pozostali muszą próżnować za siebie i za innych. W każdym jednak najbardziej nawet rozleniwionym zespole znajdzie się taki ogólnie znienawidzony typ, który ma ochotę do pracy. Człowiek taki psuje siestę innym, niepotrzebnie otwiera okienka i stara się załatwić sprawy cisnącej się do okienek urzędowych publiczności. Typ taki jest objawem najwyższej niesolidarności koleżeńskiej. Gdyby we wszystkich biurach i urzędach nagle wszyscy ludzie stali się pracowici, trzeba byłoby zredukować połowę personalu, co zkolei zwiększyłoby bezrobocie. Prawdziwie społeczny pracownik pracuje jak najmniej i stara się, aby mu przydzielono do roboty dwóch bezrobotnych. Jednocześnie zaleca się P. T. publiczności cisnącej się do okienek, jaknajdalej idącą cierpliwość. Akta urzędowe podobne są do wina — im dłużej leżą, tem większej nabierają mocy. Młode wino i akta, które się nie odleżały — nie wychodzą nikomu na zdrowie.

4. FERJE SĄDOWE. Zaczęły się wakacje sądowe. Jest to okres, w których sprawiedliwość wypoczywa. Jak wiadomo, sądy u nas są przez cały rok przeciążone robotą. W sierpniu wysyła się sędziów na urlopy. Jednocześnie w wielu więzieniach wysyła się na urlopy zdrowotne więźniów, odbywających kary. Według nowej ustawy — im dłuższą więzień odbywa karę, tem dłuższy należy mu się doroczny urlop wypoczynkowy. Naprzykład więzień odsiadujący pięć lat — ma pięć tygodni urlopu, skazany na dziesięć lat — ma osiem tygodni urlopu, dożywotni ma trzy miesiące urlopu itd. Dyrekcje więzień przed udzieleniem urlopów swym pensjonarjuszom, powinny pouczyć ich jak się mają zachowywać podczas wakacyj. Przedewszystkiem więc należy im się bezwzględny wypoczynek. Więzień nie powinien w tym czasie oddawać się żadnej pracy zawodowej. Doliniarze powinni pojechać w doliny, strycharze w góry, złodzieje leśni do puszczy Białowieskiej, a specjaliści od mokrej roboty nad morze.

5. SŁOMIANI WDOWCY. Mężowie w czasie wakacyj dzielą się na szczęśliwych mężów i na takich, których żony zostały w mieście. Nazwa słomianych wdowców pochodzi stąd, że palą się oni jak słoma do każdej spotkanej kobiety. Słomiany wdowiec liczy ze zgrozą dni i godziny do powrotu swej małżonki. Jada na mieście i tamże spędza wieczory aż do białego rana. Tylko wyjątkowo nieprzedsiębiorczy mężowie spędzają czas urlopowy w domu, starając się nauczyć trudnej sztuki gotowania. Z książką kucharską w ręku próbują wtajemniczyć się w arkana sztuki gotowania. Mogą się wtedy przekonać, jak wielką sztuką jest — sztuka kulinarna.

P. S. O czem należy jeszcze pamiętać w tym miesiącu? Otóż przedewszystkiem należy pamiętać o tem, że sierpień jest okresem burz. Dobrze będzie, jeśli w tym miesiącu przeżyjemy spokojnie 31 dni i z gromadzących się na horyzoncie chmur nie padnie żaden piorun. Sierpień jest miesiącem dożynek — oby nowa wojenna pisownia nie zmieniła tego słowa na „dorzynki". Miejmy jednak nadzieję, że pokój potrwa jeszcze trzy miesiące. Stosujmy się do pięknej zasady: „To co mamy wyrżnąć dzisiaj, wyrżnijmy dopiero jutro".

Adkalendasgraecas.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm, ... 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerok... na zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łami... doliczamy dodatkowo 50% za każdy ... zastrzeżeń co do miejsca zam... ajemy

Numer 31 **Niedziela, 31 lipca 1938** **Rok IV**

Następny 32-gi numer „ASA" wyjdzie 7-go sierpnia jako numer specjalny. Szczegóły na stronie 20-tej.

ASY NUMERU 31-GO:



Przyjazd króla Jerzego VI do Paryża nawiązuje do przedwojennych tradycyj francusko-angielskich i uważany jest za ważny moment w polityce obecnej chwili a wspaniałe przyjęcie, jakie zgotowano królewskiej parze, świadczy o wielkiem znaczeniu tych odwiedzin dla obecnej sytuacji Francji. Na naszem zdjęciu widzimy króla Jerzego VI z małżonką, udającego się z motorówki w towarzystwie prezydenta Republiki Lebruna i jego małżonki na przyjęcie w ratuszu paryskim.

Fot. Trampus.



ZWIERCIADŁO NIPPONU

Dwie wielkie wojny japońsko-chińska w końcu XIX w. i japońsko-rosyjska w r. 1905 zwróciły uwagę świata na dalekie wyspy japońskie. Japonja wkrótce stała się partnerem w polityce światowej, a moda japońszczyzny ogarnęła całą Europę. Malarstwo Japończyków zyskało prędko uznanie: sztuka europejska poczęła coraz obficiej korzystać z tematów importowanych z kraju wschodzącego słońca, używając ich przy tworzeniu nowego stylu — secesji.

Japonja pomimo wszystko pozostawała tajemnicą: jak połączyć rycerskiego ducha samurajów, jak pogodzić japoński heroizm, subordynację wojskową, bitność i tyle innych czysto rycerskich cech z upodobaniem w kwiatach, z naiwną nieraz mentalnością tego narodu, który robi wrażenie typowych poetów i marzycieli? I co najciekawsze jak mogła iść w parze z ich praktycznością w dziedzinie spraw państwowych, zamiłowanie do tradycji i dawnych obyczajów? Przecież Japonja w przeciągu kilku lat stała się z starego feudalnego państwa, rządzonego przez nominalnego jedynie mikada, państwem współczesnem o silnym rządzie i zcentralizowanej w rękach tegoż mikada władzy!

Nie wnikniemy w psychologiczne tajniki tego narodu: nawet Pierre Loti, wielki znawca Japonji, uchylić zdołał ledwo rąbek tajemnicy. Natomiast zajmiemy się odcyfrowaniem starych, ciekawych niezwykle z punktu widzenia symbolistyki i artystycznej ozdobności, japońskich godeł. Godła te używane przez owych przysłowiowych samurajów, to serce Japonji: odzwierciadlają one nietylko historję rodów japońskich, ale też jego artystyczne zamiłowania, jego zdolność stylizowania prostych zdawałoby się liści czy kwiatów, jednem słowem jego umiłowanie piękna.

Zanim doszło w połowie XIX wieku do przewrotu, który stworzył nowożytne państwo japońskie, był to kraj typowo feudalny. — Stanowisko mikada było raczej symboliczne, a faktyczną władzę wykonywali szogunowie pochodzący z dawnych feudalnych rodów książęcych. Cały naród dzielił się na liczne klasy: przedewszystkiem na szlachtę dworską otaczającą mikada w Kioto, na szlachtę wiejską i niższą szlachtę rycerską. Pozatem odróżniano chłopów, rzemieślników, kupców. Oczywiście, że każda z tych klas wyższych miała swoje gradacje i odmiany: szlachta tworząca otoczenie mikada pochodziła częściowo po synach mikadów, którzy nie zostali zaliczeni do książąt krwi. Do tej to kategorji należały wielkie rodziny Fujiwara, Taira, Minamoto itd. Ci ostatni wydali licznych szogunów, gubernatorów, panujących nad Japonją aż do przewrotu w r. 1867. Druga kategorja — szlachta wiejska — dajmiowie byli właściwie niezawisłymi książętami obowiązanymi wobec mikada do hołdu, ale do niczego więcej. Najwybitniejsze rodziny z tej grupy to te, które pochodzą po wielkim szogunie Minamoto no Matsudaira Togugawa Iye Yasu. Dajmiowie ci dzieleni byli na dwie klasy: do pierwszej należeli władcy całej prowincji, np. rodziny Maeda, Date, Mori, Shimadzu itd., do drugiej klasy zaliczano tych, którzy zbierali rocznie co najmniej 100 tys. koku ryżu, do trzeciej wkońcu tych, których dochód roczny wynosił już jedynie 50 tys. koku ryżu. Jak widać z tego w Japonji istniał taki cenzus majątkowy, jaki za cesarstwa zaprowadzono w rzymskiej „nobilitas" dzięjąc ją zgodnie z jej intratami. Najniższa kategorja obejmowała rodziny z 10 tys. koku ryżu: poniżej tego minimum rodzina nie mogła należeć do



Aktor japoński w roli dostojnika w średniowiecznym stroju, na którym widzimy „mon" rodowy (na rękawach i górnej części stroju).

kategorji dajmiów. Trzecia kategorja — szlachta rycerska — to tak zw. „buke" i samurajowie, pod których mianem Europejczycy zwykle obejmują całą japońską szlachtę. Klasa ta była dosyć liczna: obejmowała około 80.000 rodzin, podczas gdy samurajów było ok. 400.00 rodzin. Jak widzimy liczebność szlachty japońskiej przypominała stosunki polskie, przyczem do owych buke czy samurajów należało wiele rodzin jakieby można zidentyfikować z naszą szlachtą zaściankową. Pełnili oni funkcje tak wojskowe jak cywilne, a zbiednieli samurajowie t. zw. „ronin" podobni byli do owych średniowiecznych „chevaliers errants", którzy wędrowali po Europie zarabiając na życie śpiewaniem pieśni przy lutni i opowiadaniem opowieści, a czasem przystając do tego czy innego bogatego pana jako jego towarzysze.

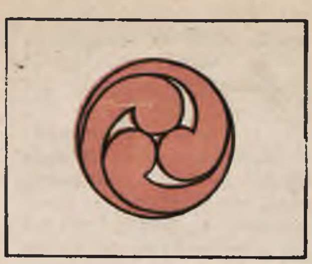
Systematyczni w swych obyczajach Japończycy, przyznawali każdej z tych klas specjalne odznaczenia stanowe: gdy np. dajmiowie pierwszej klasy przed swymi pałacami mogli posiadać bramy o sześciu wejściach, koledzy ich z drugiej klasy mogli jedynie pozwolić sobie na zwykłe łamane dachy, gdy tamci budowali je podwójnie łamane! Po roku 1867 wprowadzono zwyczajem europejskim tytuły honorowe dla japońskiego rycerstwa, a mianowicie ko (książę), kō (markiz), haku (hrabia), shi (wicehrabia), dan (baron), odbierając im samodzielność feudalną i poddając pod bezpośrednią władzę cesarza-mikada.

Ale przejdźmy do samych godeł japońskich, tak różnorodnych, ciekawych i artystycznie wyrobionych jak nigdzie indziej. Zbiory tych godeł zwane „bukan" (zwierciadło wojownika), ukazują nam ich niezliczone ilości. Godło, herb czy „mon" powstało z wzorów materjałów, a słowo „mon" znaczy poza godłem też „wzór". Godła te używane były nietylko przez szlachtę ale również przez inne stany, np. rzemieślników, kupców itd. Umieszcza się je bez tarczy i otacza często kołem. Różnorodność ich jest olbrzymia: znajdujemy wśród tych godeł liczne zwierzęta stylizowane jak np. żółwia, dzikie kaczki, zająca, motyle, ale przedewszystkiem kwiaty i liście, a również nieraz pewne sprzęty, jak np. rury studni, kapelusze itd. Ilość kwiatów jest tu olbrzymia, gdyż mała nawet odmiana kwiatu stanowi o odrębności godła.

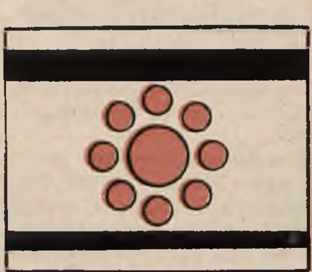
Bardzo często godła japońskie są wyrazem nazwiska rodziny: Fujiwarowie używają kwiatu glicynji, zwanej po japońsku „fuji", rodzina Masuyama góry, po japońsku „yama" itd. Ogromnie liczne są odmiany kwiatu „paulownji", używanego nietylko przez sam dom cesarski, ale również przez różne inne rodziny, jak np. przez Kuki, Ashikaga, Matsudaira i inne. Ale Japończyk, który jest właściwie przedewszystkiem artystą, odczuwającym wszelkie finezje sztuki, idzie w swojem stylizowaniu różnych roślin tak daleko, że małe tylko odchylenia tworzą już nowe godła, a co najciekawsze są one zrozumiałe dla ogółu. Takie dajmy na to liście brzoskwini spotykamy w różnych warjantach, to samo da się powiedzieć o listkach chryzantemy, kwiecie wiśni itd. Ale spotykamy też wszelkiego rodzaju kombinacje kółek, symbolizujących słońce lub księżyc, spotykamy też wachlarze z niezwykle finezyjnemi ozdobami i dodatkami, kwadraty i figury geometryczne, a również fragmenty bramy w postaci drewnianych wiązań. Jak wspomnieliśmy, bramy zależnie od swej budowy, określały zewnętrznie stanowisko danej rodziny. Spotykamy też inne przedmioty, naprzykład grzebienie (godło rodziny Nishio, dajmiów w Jokosuka), kapelusze (godło rodziny Takebe, dajmiów w Hajashida). — Ale występują również w tych godłach całe napisy.

Nieraz godło japońskie stanowi jeden ze znaków pisarskich, będący początkiem nazwiska rodziny, miejscowości, czy prowincji.

Stylizacja tych różnych przedmiotów czy kwiatów, stworzyła bogaty świat znaków, któremi posługują się Japończycy, chcąc

1 

2 

3 

4 

5 

6 

7 

Na lewo od góry: Godła japońskie na sztandarach wojskowych przedstawiają niezwykłą różnorodność tematów, przeważnie roślinnych. Rys. 7 przedstawia przekrój rury studni, rys. 5 napis tworzący połowę nazwy miasta Aidzu.

wyrazić pewne wydarzenia czy legendy żyjące do dziś dnia wśród ludu. Warto zwrócić uwagę naprzykład na głowy ptaków, umieszczone wśród girlandy z kwiatów, a przypominające tylokrotnie przez malarzy europejskich przedstawiane głowy aniołków z parą skrzydeł i obłoczkiem. I tu i tam tworzono nową, fantastyczną postać, której powstanie tłómaczy się potrzebą symbolizowania pewnych pojęć w graficzny sposób.

Pomysłowość sztuki japońskiej wypowiada się w pełni w tych różnych godłach. Naprzykład niezwykle ciekawa jest stylizacja głów ptasich, przypominających żywcem ornamenty naszej secesji w początkach XX wieku. Ciekawem jest również, że swastyka tak dzisiaj „modna", występuje raz po raz w zbiorach godeł japońskich.

Jak wiadomo, herbem państwa japońskiego jest słońce, złote w czerwonem polu, natomiast godłem samego domu cesarskiego jest kwiat „paulowni", który został również wzięty za główny temat najwyższego orderu japońskiego. Niektóre z godeł są tak dalece przestylizowane, że nie przypominają pierwotnej postaci: naprzykład najbogatsza rodzina japońska Maeda, która dzierżyła władzę dajmiów w Kanazawa — posiadali oni rocznego dochodu aż miljon i 70 tysięcy koku ryżu — noszą godło zwane „garnek ze śliwkami", a przedstawiające pięć kół wokoło rodzaju gwiazdy. Oczywiście, że poza stylizacją przyczyniły się do tej zmiany również różne interpretacje w ciągu wieków, oddalające godło od pierwotnego wyglądu.

Nie chodzi nam w tym wypadku o studjowanie historji godeł jako takich, gdyż nauka europejska posiada jeszcze zamało szczegółów o ich rozwoju. Chcieliśmy jedynie zwrócić uwagę na nieprzebrane bogactwo form i stylizacyj, spoczywających w tych



Scena z życia Samurajów, według starego japońskiego drzeworytu. (Wł. Z. Strychalski).

artyście w tworzeniu nowych form. Przeglądając owe godłach, które mogą posłużyć — i posłużyły faktycznie przy powstawaniu secesji — europejskiemu godła, należy podziwiać ich pomysłowość i bogactwo. Zdaje się nam, jakoby cały naród japoński składał się z malarzy i artystów, a przecież zyskał on, i słusznie, opinję nieustraszonych żołnierzy, którzy, zwłaszcza w chwili bieżącej, podbijają mieczem olbrzymie połacie Azji, stając się groźnymi nietylko dla Chin, ale też dla Sowietów, bal nawet dla Anglji.

Jan Maleszewski.



MIODOWE GODY

Na lewo: Pszczoły przy pracy.







Od lewej: Trzy „stany" społeczności pszczół: królowa, robotnica, truteń.

Lipiec, najpiękniejszy miesiąc lata, króluje w całej pełni, szafując hojnie darami Matki Przyrody. Falują łany dojrzewających zbóż i szumią kołysane podmuchem wiatru. Owadzia kapela świerszczów i pasikoników przygrywa zapamiętale, niczem najpiękniejsza muzyka.

I gdy w upalny lipcowy dzień stanąć na chwilę pod taką kwitnącą lipą, słychać nieprzerwany szum i brzęczenie. Gdy wzrok skierujemy ku górze, zauważymy mnóstwo pszczół uwijających się wśród kwiecia, zatrzymujących się na niem i odlatujących za chwilę dalej. Pszczoły pracują, przeglądają pachnące kwiaty i spijają z nich słodki i wonny nektar. Maleńkie słodkie kropelki, które zlizują długiemi i owłosionemi języczkami, spływają do rozszerzonej części za przełykiem, zwanej wolem lub „żołądkiem miodowym" i gromadzą się w nim, niby w zbiorniku, który zostaje opróżniony dopiero w ulu. Tu pszczoły zwracają jego zawartość wprost do komórek, przeznaczonych jako magazyny miodu. Ten słodki płyn w wolu pszczoły, niby w maleńkiem laboratorjum, ulega przeróbce, a mianowicie zagęszcza się i przez pewną przemianę zawartego w nim cukru przechodzi w każdemu znany miód.

Praca zbierania nektaru nie jest łatwa. Wiele bowiem trudu zadać sobie nieraz musi pracowity owad, by dostać się do cennego płynu, ukrytego głęboko w koronie kwiatowej. Czasem żuwaczkami przegryza koronę kwiatu od zewnątrz i tą drogą dopiero dostaje się do środka. Zanim „żołądek miodowy" napełni się całkowicie nektarem — pszczoła musi odwiedzić wiele kwiatów. Dość powiedzieć, że przy zbieraniu słodkiego nektaru z kwiatów koniczyny pszczoła odwiedza około 1000—1500 pojedyńczych kwiatów. Nic też dziwnego, że pszczoły stały się symbolem pracowitości i skrzętności.

Pszczoły wylatują z ula nie tylko po nektar, lecz także i po pyłek kwiatowy. Praca zbieraczek jest dokładnie podzielona. Pszczoły poszukujące nektaru nie zbierają pyłku i naodwrót.

W jakiż sposób zbierają pszczoły z kwiatów pyłek i jak przenoszą go do ula? Przyglądnijmy się dokładnie zbieraczce pyłku. Na tylnych jej nóżkach zauważymy przyczepione kuleczki białawe, żółtawe lub czerwonawe. Są to zbite ziarenka pyłku zręcznie zebrane przez pszczołę. Barwa ich zależy od barwy pręcików kwiatowych. Pszczoła zapuszczając się do wnętrza kwiatu przedniemi nóżkami i żuwaczkami, strąca i zdrapuje pyłek z pręcików, którym wkrótce ciało jej zostaje pokryte. Specjalnemi szczoteczkami ze sztywnych włosków, mieszczącemi się na wewnętrznej stronie pierwszego członka stopy, oczyszczają swe ciało i zmiatają pyłek do zagłębień zwanych koszyczkami. Tam przez nóżki środkowe zostaje pyłek ubity w małą kulkę. Po powrocie do ula, zdobyty w ten sposób pyłek składają w na ten cel przeznaczonych komórkach.

Czerpiąc z odwiedzania kwiatów miododajnych lub pyłkowych tak wyraźną korzyść, nie zapominają pszczoły o spłaceniu „długu wdzięczności". W poszukiwaniu bowiem słodkiego nektaru czy pyłku pośredniczą w zapyleniu, t. j. przenoszeniu pyłku z jednego kwiatu na drugi. Jest to konieczne dla zawiązania owocu i wydania nasion, a tem samem dla utrwalenia gatunku.

Czemżeż kierują się pszczoły w poszukiwaniu cennej dla siebie zdobyczy?

W pierwszym rzędzie pszczoły-zbieraczki kierują się wzrokiem. Dobrze widzieć pozwalają im duże oczy, złożone z niezliczonej ilości drobniutkich i maleńkich oczek, umieszczonych po obu stronach głowy. Jak wykazały liczne doświadczenia, pszczoły w rozpoznawaniu kwiatów kierują się w dużej mierze barwami. Jednak skala barw, które są dla nich dostrzegalne, jest u nich o wiele uboższa, aniżeli u człowieka. Nie odróżniają one od siebie barw żółtej, pomarańczowej i czerwonej, podobnie nie dostrzegają różnicy pomiędzy barwą niebieską, fioletową czy purpurowo-czerwoną.

Pszczoły potrafią również doskonale odróżniać zapachy i o ile z większych odległości kierują się głównie wzrokiem, o tyle znajdując się już na terenie swych poszukiwań, wyzyskują zmysł węchu. Narządem węchu u pszczół są ich czułki, mieszczące się na głowie.

Z pokrytych kwieciem drzew i różnobarwnych łąk, wracają pracowite pszczoły do swego mieszkania. I w ulu wre praca i kipi życie. Ul stanowi rodzaj państewka liczącego nieraz kilkadziesiąt tysięcy obywateli. Każdy ma wyznaczoną sobie rolę, którą spełnia starannie i sumiennie. Rządy sprawuje królowa-matka. Asystuje jej świta pszczół-robotnic, które zajmują się jej karmieniem i otaczają ją troskliwą opieką. Od istnienia bowiem królowej zależne jest życie całego ula.

Inne robotnice budują plastry, które zadziwiają regularnością swej konstrukcji. Wykonane są one z wosku, który wydziela się w postaci delikatnych łuseczek z pierścieni, na spodniej stronie odwłoka pszczoły-robotnicy. Budowa plastra jest nadzwyczaj pomysłowa i ekonomiczna, przy nadawaniu bowiem komórkom sześciobocznego kształtu zyskują pszczoły zarówno na miejscu, jak i na ilości budulca.

Wśród sześciobocznych komórek mniejsze przeznaczone są na jajeczka, z których mają się wylęgnąć przyszłe pszczoły robotnice, w większych znajdują się jajeczka na przyszłych samców zwanych trutniami. Wśród wielkiej ilości tych komórek znajduje się zaledwie kilka o kształcie wiszących dzbanuszków. Są to mateczniki-kolebki dla przyszłych królowych.

Jedynem zadaniem królowej jest składanie jajeczek. Wiedziona przedziwnym instynktem, w otoczeniu swej nieodstępnej świty, składa w dużej ilości jajeczka w przeznaczone na ten cel komórki.

W pozostałych komórkach nagromadzony został materjał zapasowy w postaci miodu i pyłku. Będzie on służył jako pożywienie dla pszczół pracujących w ulu i dla wylęgającej się potomstwa.

Od złożenia jajeczka do narodzin młodziutkiej pszczoły upływa parę tygodni. Po trzech dniach wylęga się z jajeczka mała, niedołężna, bo ślepa i beznoga larwa, zwana czerwiem. Robotnice niańki i karmicielki dostarczają jej obfitego pożywienia, dzięki czemu larwa rośnie szybko, tak, że niebawem całem swem ciałem wypełnia komórkę. Wtenczas robotnice zasklepiają komórkę wieczkiem z wosku. Zamknięta niby w maleńkim sarkofagu larwa otacza się oprzędem i zamienia na nieruchomą poczwarkę, w której zachodzą dalsze, niewidoczne przemiany; wreszcie po trzech tygodniach wychodzi młodziutka pszczółka, nowa obywatelka w społeczeństwie pszczół. Odrazu zostaje ona wciągnięta do pracy przez doświadczone, stare pracownice, najpierw do obowiązków lżejszych, jak czyszczenie komórek, pilnowania i karmienia larw, a potem do bardziej odpowiedzialnych, jak znoszenia pożytku, budowy plastrów i t. p.

Królowa-matka staje się niespokojna. Nie

Dokończenie na str. 31-ej.

Oryginalny ul w postaci drewnianej rzeźby zawdzięcza swe powstanie niemieckiemu rzeźbiarzowi z XVIII wieku.



KĄCIK FILATELISTYCZNY



Nowy znaczek księstwa Monaco z portretem panującego księcia.

Po zdwojonej porcji nowości reprodukowanych przez nas 14 dni temu powinna była nastąpić mała przerwa, tymczasem jednak otrzymaliśmy od naszgo przyjaciela p. Józefa Bronowicza z Ameryki list z bardzo zajmującemi znaczkami ze serji regularnej i okolicznościowemi, które zamieściliśmy w ub. tygodniu.

Po 17 latach istnienia dawna serja prezydentów i krajobrazów jest zwolna wycofywana na rzecz nowej — odznaczającej się tem tylko, że prezydenci Stanów Zjednoczonych reprodukowani są na coraz to wyższych wartościach, tak jak byli kolejno obierani. Oprócz nich tylko biusty Franklina i Marty Waszyngton znajdują się na wartościach za ½ c (pomarańczowy) i 1.5 c (brązowy).

Niesłychana obniżka bloków polskich 1937 wskazuje na to, że świetny interes na nich zrobiła tylko Poczta Polska. Wprawdzie wykluczonem jest chyba, aby mogły spaść poniżej cen, które ostatnio widzieliśmy w ogłoszeniach — 5.50 za serję (!!!), ale różne cuda dzieją się także w filatelistyce. W każdym razie to jest pewne, że niema dzisiaj na świecie stu tysięcy amatorów, którzy chcieli wydawać pieniądze na polskie znaczki, a jeśli jeszcze przez kilka lat każde państwo będzie emitowało tyle bloków, co w ciągu ostatnich 2 lat, to wkońcu każdy nowy zbieracz będzie mógł skompletować tylko bloki własnej ojczyzny.

Bardzo ładne są nowe znaczki niemieckiej poczty lotnicezj za 25 i 50 fen. na cześć hrabiego-fantasty — pioniera lotnictwa — Zeppelina. Francja oczywiście wystąpiła także z egzemplarzem z podobizną daleko mniej znanego Clement Ader, ale oburzać to musi wszystkich choćby średnio zamożnych, bo któż może mieć 50 franków na jedną sztukę! Kolor znaczka niebieski, format normalny poziomy. Czy nie byłoby to lepiej wydać jeszcze jedną wartość za 1.75 fr., tak jak na znaczku z piłkarzami?

Rumuńska serja jubileuszowa przedstawia monarchów rumuńskich i władców włoszszyzny a 4 znaczki Księstwa Monako za 55, 65 c 1 fr i 1.75 fr. uzupełniają plon lipcowy. W. H.



Ciekawa serja nowych znaczków rumuńskich, przedstawiających najwybitniejszych władców rumuńskich, wołoskich i mołdawskich. W dolnym rzędzie od lewej królowa Carmen Sylva, król Karol II, król Ferdynand I, król Karol I.

KASTANIETY W U. S. A.



Gdy dziś mówimy czy myślimy o Hiszpanji — łączy się to z ponurą i przygnębiającą wizją kraju rozdartego od dwu przeszło lat jedną z najkrwawszych, jakie zna historja, wojen domowych, która zresztą daleko przekroczyła „domowe" ramy. Znikła już z naszej wyobraźni i pamięci Hiszpanja słońca i wina, Hiszpanja pięknych dziewcząt, malowniczych strojów, barwnych zwyczajów, a przedewszystkiem tego, co najbezpośredniej chwyta przybysza: Hiszpanja tańca, muzyki i pieśni.

Gdy przez radjo słuchamy piosenek hiszpańskich, nie możemy się oprzeć wrażeniu jakiegoś smutnego anachronizmu, bo istotnie, trudno byłoby sobie wyobrazić, że dzisiejsza Hiszpanja umie jeszcze śpiewać beztrosko i namiętnie, umie jeszcze dźwięczeć na strunach gitar, klaskać w kastaniety, tańczyć porywająco lub romantycznie.

Na zgliszczach wprawdzie szybko wyrasta nowe życie — tak się to mówi w przysłowiu. Może więc w tych połaciach kraju, po których już przeszła, albo też do których nie doszła jeszcze krwawa stopa wojny, rozlega się znów lub jeszcze muzyka i pieśń. Ale w każdym razie jest to już melodja inna i rytm inny — bo spowity żałobą i trwogą.

Tej „przedwojennej" Hiszpanji szukać więc można tylko na płytach gramofonowych, albo w przykrych i sztucznych imitacjach w kabaretach i music-hallach. Czy możnaby jeszcze gdzieś znaleźć ją prawdziwą i niesfałszowaną — taką, jaką była od wieków mimo przechodzących najróżniejszych zdarzeń?

Cykl pięknych fotografij, rozrzuconych na tych stronach, pozwala nam mniemać, że możnaby jeszcze tę dawną i beztroską Hiszpanję tańca i muzyki odnaleźć na mapie świata — ale wcale nie tam, gdzie być powinna. Znacznie dalej.

Należałoby przejechać ocean i dotrzeć do Kalifornji. Jak wiadomo, na południowym-zachodzie Stanów Zjednoczonych, w Kalifornji, Arizonie i Nowym Meksyku, hiszpańskość tych okolic nic względnie bardzo mało utraciła w ciągu długich dziesiątek lat na swym rodowitym charakterze. Ale właśnie w Kalifornji znajduje się miasteczko, które wyspecjalizowało się w tem pielęgnowaniu hiszpańskich tradycyj, broniąc się zaciekle przeciw wszystkiemu, co jest niehiszpańskie. — Jest to miasteczko Santa Barbara.

Już zewnętrzny jego charakter przenosi nas z Ameryki do — Hiszpanji. Pełno tam budowli w stylu staro-mauretańskim, budowle przypominają do złudzenia analogiczne lokale w Hiszpanji, a mieszkańcy przybierają stale stroje ojczyste, takie nawet, jakich już mało spotyka się w Hiszpanji europejskiej.

Na lewo: Dygiem przed publicznością kończy hiszpańska tancerka swój występ.

Poniżej: Hiszpańskie stroje i olbrzymie kapelusze słomkowe noszone przez mężczyzn, nadają miasteczku Santa Barbara cechy starej Hiszpanji.



Na prawo: Na podwórkach domów w Santa Barbara nieraz można zauważyć, jak młode dziewczęta ćwiczą trudniejsze „pas", by kiedyś zabłysnąć na szerszej arenie.



Santa Barbara jest twardą ostoją hiszpańskiej ziemi — i jako taka powinna interesować bardzo nas, Polaków, mających podobne piękne tradycje na różnych lądach świata, gdzie zdawna pożegnani z ojczyzną emigranci z pokolenia na pokolenie podtrzymują polskość nietylko w mowie i trybie życia ale w obyczaju i wszystkich momentach publicznego, zewnętrznego bytowania.



Nawet na ulicach miasteczka odbywają się popisy hiszpańskiego tańca, który ma niesłychane powodzenie

W kole: Babka z wnuczką udają się na zabawę ludową w Santa Barbara.

Raz do roku Santa Barbara przeżywa wielki dzień, w którym roi się od niezliczonej ilości przybyszów z bliższych i dalszych okolic. Są to doroczne „fiesta", święto hiszpańskości tego miasta.

Na święto to przygotowują się mieszkańcy przez długie tygodnie co roku by potem przez miesiące całe wspominać je — aż do następnego święta.

Całość tego dnia rozgrywa się na ulicach. Domy pustoszeją, wszyscy porzucają wtedy domowe i normalne swe zajęcia. Ulice przepełnione tłumem i z wszystkich stron dobiegają dźwięki muzyki i śpiewu, dochodzą okrzyki radosnej zabawy, a wino leje się — jak w bajkach — strumieniami.

W centrum miasteczka, przed wspaniałą budowlą maurctańską, gdzie mieści się sąd, i inne władze lokalne, uderza serce tego dnia. Tam odbywają się wspaniałe, barwne i huczne zabawy, których najważniejszą częścią są tańce i popisy orkiestralne i wokalne. Całość tego programu polega na najwierniejszem zachowaniu starego obyczaju, śpiewane są wyłącznie stare piosenki z ojczyzny, tańczone wyłącznie tańce nie „modne", a orkiestry składają się wyłącznie ze starych instrumentów.

Bo święto to poświęcone jest kultowi melodji i pieśni ojczyzny...

Wszystko odbywa się pod tem hasłem — i tylko tym rytmem z ojczyzny biją wszystkie serca w ciągu tego uroczystego dnia, silniej niż zazwyczaj, silniej niż codziennie wśród normalnych zajęć dnia powszedniego.

Wszyscy — zarówno występujący, jak widzowie — ubrani są w narodowe stroje. Wśród występujących niema żadnych „zawodowców" — wprost przeciwnie: są to wyłącznie „normalni" meszkańcy miateczka, którzy z zapałem wykonują tańce i pieśni stare z swej ojczyzny, zdając sobie sprawę z ważności przechowywania i pielęgnowania tych tradycyj, co pozwala im jakby na stałe współżycie z ojczyzną, oddaloną od nich o tyle tysięcy kilometrów ziemi i morza.



Nietylko dorośli popisują się na oczach wielkich tłumów z entuzjazmem oklaskujących. Są wśród nich także młodzi — „przyszłość narodu" — na których spadnie niedługo cały ciężar i cała odpowiedzialność, by nie uronić nic z tego, co w ciągu pokoleń było stale podsycane świętym zniczem miłości ojczyzny. Tak więc — w smutnej rzeczywistości dzisiejszej Europy — gdyby ktoś chciał ujrzeć i usłyszeć niesfałszowaną dawną Hiszpanję, być widzem i słuchaczem jej tańca i pieśni — niechże uda się do... Kalifornji. Znajdzie tam miasteczko Santa Barbara, słynne na całą Amerykę hiszpańską ze swych „fiesta". Jest to wprawdzie dość daleko — ale lepiej przedsięwziąć — jeśli stać na to — nawet taką długą podróż, niż wybrać krótszą — do europejskiej Hiszpanji, gdzie trudno byłoby usłyszeć inną melodję poza melodją śmierci, ujrzeć inny taniec poza tańcem wojny...

A ponieważ narazie nie możemy jechać do Santa Barbara — „pojedźmy" tam tylko oczyma i fantazją — z pomocą rzuconych na te strony fotografij... w. z.







Od lewej: Tłem różnych uroczystości narodowych w Santa Barbara jest pałac miejscowego sądu, w stylu maurytańskim. — Oto typowy jeździec hiszpański, pochodzący z rodziny osadników — „rancheros" — który w dniu święta przywdziewa uroczysty strój przodków. — Znaną postacią w Santa Barbara jest „stylowy" żebrak.

Zemsta

O mecenasie Niedbałym dobrze mówiły tylko kobiety. Te, dla których był uprzejmy i te, dla których był niegrzeczny. Ostatnie przez dobrze zrozumiałą ambicję.

Prowadził sprawy rozwodowe. Był spowiednikiem i pocieszycielem.

Prócz wysokiego honorarjum, przesyłanego dyskretnie w niebieskich, uperfumowanych kopertach, otrzymywał kwiaty, najczęściej czerwone. Nosił jasne ubranie i jaskrawe, drogie krawaty. Mężczyźni mówili, że jest niemądry, próżny, blagier, kobiety uważały, że jest pełen wdzięków i talentów. Nie palił, nie pił, nie grał w karty, nie był żonaty. Złośliwi twierdzili, że nie ma nawet kochanki...

Widywano go jednak w towarzystwie kobiet wytwornych, uginających się pod ciężarem srebrnych lisów, wsiadających do własnych Packardów lub odjeżdżających Błękitnym Ekspresem na Południe

Pani Lucyna Szermińska nie znała Niedbałego, który prowadził jej sprawę spadkową. Dotychczas załatwiał to jej mąż. — Gdy wreszcie trzeba było coś podpisać, sprowadziła go do siebie. Niedbały zgodził się niechętnie. Najpewniejszy był na gruncie własnego mieszkania, gdzie legitymował się pięknemi antykami, świetnie wyposażoną bibljoteką, saską porcelaną i portretami przodków. Ze swojem nieco groteskowem nazwiskiem uporał się oddawna. Wymawiał je wyraźnie i głośno. Trzeba było wierzyć.

że to ród stary i niemniej zasłużony, niż Zamoyscy.

Poznali się. Potem było parę telefonów w interesach. Mecenas pozwolił sobie zaznaczyć, że „pani dziś wyglądała zmęczona“, a innym znów razem, że „pani zrobiła na mnie wczoraj wrażenie kobiety, która dobrowolnie zrzeka się radośsci życia. Przy pani możliwościach, wygląda to zagadkowo“.

Pani Lucyna sama prowadziła auto. Pojechali do Radomia w interesach. Niedbały zapłacił za obiad. Nazajutrz dostał od pani Lucyny kosz kwiatów.

Uznał to za awans z jej strony i chociaż dbał bardzo o klientkę, stał się mniej uprzejmy.

Po miesiącu pani Lucyna wiedziała o swoim adwokacie wszystko i mówiła w superlatywach, jak zresztą czyniły to zwykle niewiasty.

Wiedziała, że jedynym motorem pracy, najjaskrawszą wadą, wyraźną przyczyną nieporozumień z ludźmi, źródłem wewnętrznej męki i brutalności w stosunku do kobiet, jest jego potężna, wszystko obejmująca — p r ó ż n o ś ć...

Kiedyś zrobił jej małą przykrość, więc postanowiła...

Spotkanie miało nastąpić w Bristolu o godzinie dziesiątej wieczór. Mecenas wraz z dwoma kolegami miał czekać na sali. Tak sobie życzyła. Panowie palili papierosy. Kolacji jeszcze nie zamawiano.

Niedbały prowokował żarty na temat swojej klientki, znajomej, kto wie może... przyjaciółki. Wiedzieli, że jest piękna, młoda i że spadek wynosi blisko miljon złotych. Niejasna była jedynie sprawa jej męża, uroczego poety. Mówiono wszak, że to kochające się małżeństwo.

— Było — rzucił od niechcenia mecenas.

— Czy twoja w tem głowa? — śmiali się usłużni koledzy, kombinując czy kolega zapłaci cały rachunek za kolację, czy trzeba będzie nadwyrężyć własny miesięczny budżet.

— Słyszałem, że pani Szermińska jest niezwykłej urody?

— Bo ja wiem — skrzywił się Niedbały — raczej rasowa, szykowna. Twierdzą, że w Warszawie najlepiej się ubiera. Za futro z nurek zapłaciła 85 tysięcy złotych. Suknie sprowadza oczywiście z Paryża. Muszę przyznać, że lubię, gdy kobieta jest dobrze ubrana.

— Przyznaj się również, ile zarobiłeś na załatwieniu sprawy spadkowej?

— Ja? Ani grosza. Ale nie mówmy o tem. Pani Lucyna się spóźnia, dostanie więc burę.

Niedbały rozejrzał się dookoła. Sala była prawie pełna. Z zadowoleniem kłaniał się znajomym. Myślał: — Właściwie to nawet lepiej, że ona wejdzie sama. Pójdę na jej spotkanie. Jej świetny wzrost i prawdziwie królewska postawa muszą zwracać uwagę. To będzie pewnego rodzaju sensacja.

Uśmiechnął się właśnie łaskawie do dwóch pań, nierozłącznych przyjaciółek i swoich adoratorek, gdy kolega trącił go lekko.

— Zobacz co za strach na wróble. Czemu takie kobiety tu wpuszczają?

Środkiem sali, bardzo wolnym krokiem, szła wysoka, szczupła kobieta. Na utlenionych, skudłaconych włosach, które robiły wrażenie peruki, trzymał się z trudem staromodny kapelusz z zielonego weluru, przybrany żółtemi różami. Na letnią, markizetową czerwoną sukienkę, narzucona była etola z gronostajów. Brązowe buciki i białe niciane rękawiczki dopełniały stroju. Twarz kobiety przypominała tanie lalki, sprzedawane na targu. Czerwone — ceglaste plamy na policzkach, krucze szeroko nasmarowane brwi, malinowe, wielkie od ucha do ucha usta. Kobieta uśmiechała się głupkowato, i nie zważając na sensację, którą wzbudza, szła pewnym krokiem przed siebie.

Gdy maître d'hôtel zastąpił jej drogę, zawołała na głos:

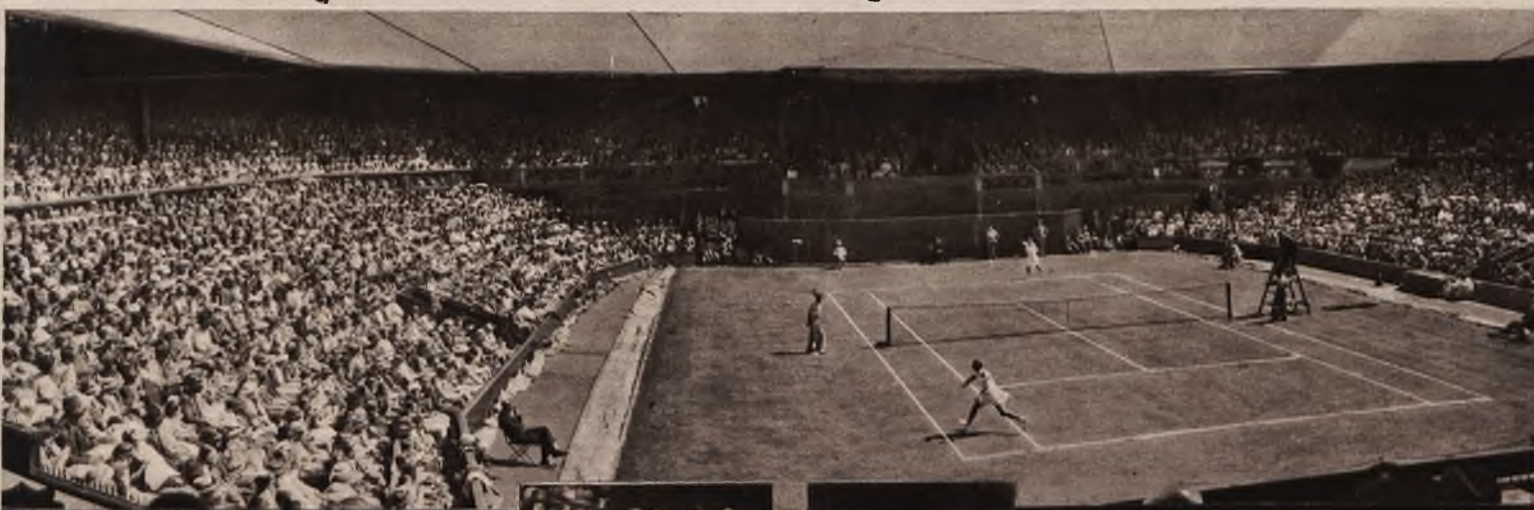
— Mnie tu zaprosił mecenas Niedbały. O, o, widzę go. Panie mecenasie, przecież pan miał czekać na mnie przy wejściu...

Ogólne poruszenie, pytające spojrzenia, śmiechy.

Ten głos, ten głos! Nie było wątpliwości. To straszne, przebrane czupiradło, ta hałaśliwa dama, robiąca wrażenie warjatki — to piękna pani Lucyna Szermińska, najbogatsza, najbardziej ustosunkowana i najbardziej hojna klientka...

Niedbały zrobił krok naprzód, lecz cofnął się i opadł bez sił na krzesło.

Sport 5 kontynentów.



Centralny kort Wimbledonu w czasie finałowej rozgrywki o mistrzostwo świata w roku 1937-ym. Jędrzejowska walczy z Angielką Round, która właśnie odbija piłkę backhandem. Na widowni komplet — 20.000 osób.



Na lewo: „Latający Bask“ Jan Borotra smeczuje wysoko lecącą piłkę.

Play — ready: oto dwa angielskie słowa, które brzmią w polskim języku: gram — gotów. Któż słów tych nie słyszał i któż nie próbował w swej młodości przerzucać białej piłeczki ponad siatką?

Odkąd cywilizacja europejska opanowała cały glob, a w ślad za nią kolorowi ludzie nauczyli się rozrywek od białych przybyszów, można śmiało twierdzić, że dzisiaj nie może już zaistnieć taka chwila w biegu czasu, w której nie odbywałaby się partja szachów, bridge'a czy tenisu.

A jednak, gdy serwujemy piłkę, nie zastanawiamy się nad tem — od jak dawna sport ten stał się namiętnością grających i stąd pochodzić może owe tak dziwne, choć proste słowo ‚tenis“!

Oczywiście z Anglji — która jest uznana za kolebkę sportu — pomyślą wszyscy, lecz w tym właśnie wypadku ojczyzną tenisu jest Francja, a źródłosłów słowa tego jest bardzo prosty, bo przekształcone zostało tylko już przez Anglików z „tenez“ — trzymaj!

Już w szesnastym wieku istniały w Paryżu sale gry w piłkę i uprawiano tam odwieczną grę narodową Basków — „jeu de la paume“, wymagającą wielkiej wytrzymałości i siły. Nie była ona wskutek tego dostępną dla wszystkich, a oczywiście amatorzy hazardu woleli bawić się w to, co mogło przynieść im korzyść w postaci brzęczących luidorów. Tenis bowiem był w ciągu wielu lat całkiem zwykłą grą o pieniądze, w której za wygranie piłki otrzymywał zwy-

ciężca — quienze sous — piętnaście sous i stąd też pochodzi owo tajemnicze liczenie punktów 15, 30 czy 40, które jest skrótem tylko z 45. Jeśli zabawa trwała dłużej, dodawano jedną grę do drugiej, a już Anglicy musieli wprowadzić słowo set — oznaczające całą serję poszczególnych game'ów.

Lecz kto pierwszy i kiedy rozegrał partję tenisu, taką, jak my to dzisiaj uprawiamy? Niestety żadna księga nie notuje tego nazwiska, ani żaden dziennik nie podawał wówczas recenzyj sportowych. W roku 1878 czyli już 60 lat temu, odbył się pierwszy turniej w Wimbledonie, a napewno przedtem, niż Mr. Hadow został wpisany jako pierwszy na liście zwycięzców — długie lata odbywały się mniej ważne turnieje. Trzeba więc przyjąć conajmniej lata 1845—1855 jako „archaiczny" okres nowoczesnego już zresztą tenisu.

Wtedy, gdy rozgrywki we Wimbledonie zbliżają się do kulminacyjnego punktu, w loży honorowej zjawiają się zawsze członkowie rodziny królewskiej i obserwują wyczyny asów rakiety. Jakżeż jednak moda i zwyczaje zmieniają się w ciągu krótkiego czasu: przecież niedawno byłoby to skandalicznym „shocking", gdyby kobieta ośmieliła się pojawić w obecności koronowanej głowy z obnażonemi łydkami i wydaje się to nieprawdopodobnem, że mistrzyni świata Helenie Wills, która miała być po zawodach przedstawiona królowej, kazano ubrać do gry pończochy! Tradycja jednak nie zdołała powstrzymać wartkiego prądu nowoczesnego życia — dzisiaj ciało sportowca, ubranego w krótkie spodenki i koszulkę bez rękawów, chłonie żywotne promienie słońca. Nikt nie zwraca uwagi ani nie gorszy się tem, że i kobiety paradują tylko w shortach w czasie przerwy pomiędzy jednym meczem a drugim. Jakżeż to musiało być niewygodnie, gdy gentleman-tenisista wywijał rakietą, ubrany w koszulę ze sztywnym kołnierzykiem i w kapeluszu słomkowym na głowie, a partnerka jego zamiatała kurz na placu długą spódnicą!

Ramy organizacyjne tenisu światowego są tak doskonałe, że gdy w innych sportach Igrzyska Olimpijskie stanowią szczytowy punkt całego czteroletniego okresu, to właśnie w białym sporcie Puhar Davisa i Wimbledon rok rocznie decydują o tem, która jednostka i który naród ma pierwsze miejsce w świecie.

* * *

Mała dziewczynka o pucołowatej twarzy gra w tenisa w Parku Krakowskim w Krakowie. Opodal na ławce siedzą starsi gracze i patrzą się na każdy ruch dziecka, które nie uczyło się tego nigdy, a potrafi pełnym zamachem uderzyć piłkę środkiem rakiety; tylko kilka kobiet w Polsce umie to zrobić lepiej od tej dziewczynki. Jest to oczywiście Jadzia Jędrzejowska w początkach swej karjery — wesołe dziecko Krakowa, idące bez wysiłku i przeskakujące poprostu po kilka szczebli w kolejności polskich zawodniczek.

Zaraz po maturze w szkole ekonomiczno-handlowej, zdobywa ona mistrzostwo Polski w tenisie, co wróży, że tak młoda osóbka sięgnie wkrótce po większe laury na dalekim Zachodzie. Tymczasem jednak okazuje się, że nie tak łatwo znaleźć się wśród elity — to już nie usłana kwiatami, ale cierniowa droga wysiłku treningowego, cyzelowania formy do ostatnich granic, zyskania wytrzymałości i opanowania nerwów.

Wreszcie w 1936 r. fachowcy ustalają, że panna Jędrzejowska, to 10-ta zawodniczka na świecie a potem nagle w r. 1937 następują świetne sukcesy — Polka zwycięża mistrzynię z ub. sezonu, Amerykankę Jacobs, mistrzynię Ameryki Marble i staje do walki o tytuł pierwszej na świecie z Angielką Round. Przepełniony 20 tysiącami widzów stadjon we Wimbledonie jest świadkiem, jak miss „Jaja" (dżadża), której nazwiska nie może przesylabizować żaden Anglik — zdobywa jedną grę po drugiej w trzecim secie i jest o krok od zwycięstwa. Rodacy dopingują jak mogą swoją rodaczkę, i w chwilę później Jędrzejowska musi jej gratulować zwycięstwa. Nie ma w stolicy w Europie z wyjątkiem czerwonej Rosji i Hiszpanji, gdzieby nie podziwiano błyskawicznych uderzeń polskiej tenisistki, nęci ją jednak także Ameryka i w ub. roku wyrusza poza ocean, gdzie znów tylko we finale ulega w meczu z senoritą Lizaną, pochodzącą z egzotycznego Chile. Fatum jednak dotyka najlepszą polską „rakietę", bo Jędrzejowska zdolna do takich sportowych wyczynów łamie wkrótce potem nogę, jadąc pociągiem. W bieżącym sezonie bardziej już zmienne są jej wyniki i w chwili obecnej przyznać jej trzeba 5-te miejsce w hierarchji światowej.

* * *

Czy znane Wam jest Czytelnicy nazwisko pana Franka Davisa dlatego, że był on ministrem marynarki Stanów Zjednoczonych, czy też gubernatorem Filipin? Zapewne nie, ale napewno słyszeliście o puharze, który ten pan ufundował, będąc studentem. Puhar Davisa — to najcenniejsze trofeum, o które krzyżowały się rakiety nie tylko na wszystkich kontynentach, ale i na dalekich wyspach Hawai czy Nowej Zelandji.

Puharu tego zdobyć nie można na własność i znajduje się on tylko w posiadaniu narodu, który zdoła wygrać finał. Wówczas czekają zdobywcy przez rok cały, aż z pośród innych narodów zostanie wyeliminowany nowy kandydat, który na terytorjum starego mistrza będzie go chciał zdetronizować. Już w roku 1900 spotkali się przedstawiciele Anglji i Ameryki w obecności kilkunastu widzów, walcząc o ową srebrną „salaterkę". A dzisiaj już np. w pierwszem spotkaniu pomiędzy Czechami a Jugosławją arena stadjonu w Zagrzebiu nie może pomieścić 6 tysięcy entuzjastów białego sportu — nie mówiąc o tem, co się dzieje w finałach.

Anglosasi przez długie lata górowali nad innemi narodami, i pozycja ta zaczęła się dopiero chwiać w roku 1924. We Francji bowiem znalazło się kilku poważnych konkurentów. Szczupły René Lacoste nie miał wcale talentu do tenisa, uderzenia jego były sztywne i słabe, ale miał zato nadludzką cierpliwość i spokój. Postanowił sobie, że będzie tak długo uderzał piłkę, aż nie trafi jej za każdym razem w to samo miejsce kortu w które wyceluje. Już po kilku miesiącach mięśnie jego nabrały sprawności, uderzenia stały się szybsze a po 3 latach jeden tylko Borotra pobił go w mistrzostwach Francji. Był to jednak wspaniały przeciwnik. — Żywy jak iskra o wybuchowym temperamencie Baskijczyk — akrobata prawdziwy — atakował od pierwszej piłki aż do ostatniej. „Latający Bask" otrzymał swój przydomek dlatego, że wszystkie podróże odbywał samolotem i umiał rano załatwiać wielkie transakcje finansowe w Paryżu, a popołudniu w Wimbledonie wywoływać huragany oklasków swą fenomenalną grą.

Trzecim z muszkieterów — gdyż taka nazwa anleżała się im słusznie — był Henri Cochet. Jako dziecko podnosił piłki, kiedy zaś jako czterokrotny mistrz świata zdecydował się sprzedać swą sławę amatora i wystąpić jako zawodowiec, zainkasował kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Dzisiaj postacie te należą do historji sportu, bo wprawdzie Borotra i Brugnon startują jeszcze w Wimbledonie, ale bez powodzenia — a Lacoste jest tylko od czasu do czasu kierownikiem reprezentacji Francji.

Francuzi zajęli miejsce Stanów Zjednoczonych, w 1927 r., potem Anglja w 1933 r. zawładnęła puharem Davisa. Frank Perry grywał sobie czasami w tenisa w jednym z parków w Londynie — i nie traktował tego poważnie, był przecież mistrzem świata w pingpongu. Namówiony jednak zagrał w turnieju dla niestowarzyszonych i zwyciężył z łatwością, a nie upłynęło więcej jak 3 sezony i stał się mistrzem świata w drugim sporcie zdobywając ponadto decydujące punkty we finale puharu. Lecz i Perry zawczasu oddał swe usługi złotemu bożkowi — bo zrozumiał że młodość ucieka — a po drugiej stronie oceanu wschodzi nowa, pierwszej wielkości gwiazda — Donald Budge.

W parze z naszym rodakiem Parker-Pajkowskim przebył niepokonany wszystkie rundy, a dzisiaj czekają cierpliwie na dalszy ciąg rozgrywek eliminacyjnych. Rzekomo

Dokończenie na str. 20-ej.

W dobranem gronie: Przed rozpoczęciem turnieju w Wimbledonie wszystkie asy tenisu są zawsze w świetnym humorze. Od lewej: mistrz świata w 1937 i 1938 Budge, mistrzyni świata w grze podwójnej pani Angielka Yorke, mistrzyni Francji Mathieu, Jadwiga Jędrzejowska, mistrzyni Ameryki 1937 Lizana, partnerka Budge'a, miss Marble i wielokrotny mistrz świata Niemiec von Cramm.





Salony KRAKOWA

ANTONI WYSOCKI

Przed kilkudziesięciu laty rej, nie tylko w życiu towarzyskiem, ale w społecznem miasta wodziły damy arystokratyczne. Wydać by się to mogło czemś niezrozumiałem, lub zgoła nieprawdopodobnem, że każde niemal publiczne przedsięwzięcie społeczne, oświatowe, charytatywne, miało za godło jedno z nazwisk historycznych, patronat pani lub pana z towarzystwa.

Tak niedawno, a jednak jak za czasów saskich i stanisławowskich, tyle że w miniaturze, ludek, już inny, miejski, ale podobnie żył pod urokiem, wpatrzony jak w tęczę, w panów i panie „ze świata", nie tyle w ich pałace, karety z herbami, stroje, liberje, ile w przeszłość historyczną ich nazwisk, lśniących bohaterstwem w dawnej, minionej, własnej państwowości, a tu, w Krakowie, nie zapomnianej.

Po części wynikał ten nastrój z tła średniowiecznej architektury, murów kościołów, Sukiennic, Ratusza, Rynku, nawiasem mówiąc, tak nikczemnie zeszpeconego, już, niestety, w czasie Niepodległości, nadbudową kamienicy Feniksa — z ciszy wąskich ulic, urozmaiconej kolorami przybrań wsi podkrakowskiej, czamarą i konfederatką niejednego z mieszczan starej daty.

Dziś z tego błąka się wśród murów nikłe, niewyraźne wspomnienie.

Wówczas w powszechnej adoracji chadzali, jak w słońcu, nawet arystokraci zubożali, co Michałowi Bałuckiemu posłużyło za temat do słabawej zresztą tego znakomitego komedjopisarza powieści pod tytułem „Pańskie dziady".

Powiedział o tej powieści Antoni Wodzicki:

— Pan Bałucki patrzy na nasze salony przez dziurkę od klucza.

Ale cóż?

Powieść a i karykatury w tromtadrackim tygodniku „Djabeł" pod redakcją Kazimierza Bartoszewicza, artykuły „Nowej Reformy" i wykwitłego pod wpływem obcych podżegań socjalistycznego „Naprzodu", nie ujmowały tendencji do czci, odczuwanej choćby na kredyt.

I miało to swą zdrową rację.

W projektach urządzenia balu publicznego, rautu, loterji, na cel dobroczynny, oświatowy, budowy pomnika, wydawnictwa, przewodniczyła — nie było inaczej do pomyślenia — któraś z popularnych w mieście arystokratek. Ona, kiedy już raczyła przyjąć protektorat, wykładała pieniądze na koszty przedsięwzięcia i objeżdżała liczne domy pań „z miasta", zapraszając do przyjęcia godności komitetowych.

Najczęściej urocza pani Marja z Żurowskich Wodzicka. W jej salonach w pałacu Dembińskich przy ulicy Wiślnej odbywały się narady, tak coraz innych komitetów, że mąż jej, ekscelencja Antoni Wodzicki żartował:

— W Krakowie chodzi się pod protektoratem mej żony, jak w deszcz pod parasolem.

Rzecz szczególna, że nawet Towarzystwo Szkoły Ludowej, z prezesem Adamem Asnykiem, poetą, oficjalnym redaktorem „Nowej Reformy" i uważającym się za radykała, pisarzem, najpoczciwszym Sewerem Maciejowskim, udawał się pod opiekę i skrzydła hrabin, Wodzickiej i z Fredrów Szembekowej. Konceptem i na prośby tych pań malarze Malczewski, Krzesz, Wyczółkowski, Aksentowicz, Kossak, wymalowali karnety balowe, karnety do wpisywania komu tancerka przyrzekła tańce. Wyszło to w późniejszych latach z mody, tak jak i dawne tańce kontredans, mazur, kotyljon. Te karnety, artystyczne cacka, sprzedawane za słoną cenę wraz z dochodem imprezy balowej za bilety, fundowały szkoły po wsiach i postawiły, uposażyły instytucje Szkoły Polskiej w Białej na Śląsku Cieszyńskim.

Po sprawiedliwości to szkoła ta założona dla obrony dzieci od zgermanizowania, powinna w jakiejś tam „złotej księdze" mieć i dziś, mimo szerszych możliwości oświatowych, imiona jej założycieli utrwalone.

Wszystko, a nie było końca tych imprez, bale, kiermasze, wenty, festyny, żywe obrazy, w salach Hotelu Saskiego, w sali teatru, w „rajtszuli" obok kościoła Kapucynów, w ogrodzie Strzeleckim lub świeżo otwartym Parku, urządzane na dochód Towarzystwa im. św. Wincentego a Paulo, Tow. im. Piotra Skargi, Tow. Szkoły Ludowej, Sokoła, weteranów, szpitali, przytułków, pogorzelców i powodzian, zawsze miewały w podtytule swych afiszów i programów nazwisko tej lub innej protektorki.

A pieniądze na te różne cele były koniecznie potrzebne, bo rząd austrjacki, łupiąc Galicję podatkami i dusząc tamowaniem przemysłu, nie przeszkadzał, ale i nie pomagał, a wykłóconych przez Koło Polskie w parlamencie wiedeńskim przyrzeczeń nie dotrzymywał. Kraków, kraj, polskość, zdane były na własne siły.

Zapytać by mógł satyryk, po cóż te panie miały wysilać się w staraniach o ofiarność publiczną, kiedy majątki ówczesnej magnaterji starczyłyby na zaspokojenie tych potrzeb i biedy. Majątki tak duże, że trudne do objęcia myślą. Białocerkiew pani Jadwigi Branickiej przewyższająca obszarem niejedno księstwo udzielne. Na Wołyniu i Ukrainie około miljona morgów w posiadaniu Sanguszków. Ordynacje Potockich, Radziwiłłów, Czartoryskich, Lubomirskich i innych, innych. Pałace, skarby, gdyby je sprzedać, wypełniłyby braki, nie wszystkie i na krótko.

W odpowiedzi na takie socjologiczne zapytanie ciśnie się pod pióro opis zdarzenia w banku Rotszylda w Frankfurcie. W trakcie rozruchów przyszła do bankiera deputacja proletarjatu, jak zwykle w takich razach samozwańcza i zażądała podziału majątku bankiera między wszystkich. Rotszyld zgodził się na to żądanie, obliczył wraz z nimi, ilu ludzi jest na kuli ziemskiej i ile z tego podziału wypadnie na każdego. Wypadło po pięć groszy.

— Zgadza się?

— Zgadza.

Wypłacił więc po pięć groszy każdemu z deputatów i zdumionych rezultatem obliczenia kazał z banku wyrzucić za drzwi.

W Krakowie rozumiano, że ofiarność powinna być powszechna i składanie ofiar pod przewodnictwem, do którego można mieć zaufanie. Zaufanie, że nic z ofiar nie zginie, nikt nic nie ukradnie, nie zużyje na „reprezentacje" swej osoby, na swe osobiste wydatki...

Berło patronowania przechodziło z rąk do rąk pań, Antoniowej Wodzickiej, Oktawji z Czetwertyńskich Mazarakowej, księżnej Cecylji z Zamoyskich Lubomirskiej, siostry nieprzejednanego w r. 63-cim więźnia stanu „pana Andrzeja", Stanisławowej Wodzickiej, żony oficera arcyksięcia Maksymiljana w nieszczęśliwej wyprawie na Meksyk, Elżbiety z Branickich Tarnowskiej, żony Stanisława Tarnowskiego, profesora literatury polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, Róży z Potockich Raczyńskiej, żony Edwarda, estety i założyciela galerji w Rogalinie, aż z czasem to berło przewodniczenia ostało się wyłącznie w rękach pani Krystyny z Tyszkiewiczów Potockiej, w pałacu „Pod Jagnięciem" i „Pod Baranami".

Szlachetny rysunek sylwety pani Andrzejowej, jej młodość, rysy twarzy jak gdyby wycięte ze starożytnego rzymskiego medalu, jej kultura literacka, a przy tem jak gdyby nieśmiałość obejścia, jednały jej wszystkie serca.

Czemu przewodniczyła, musiało się udać. W czynnościach komitetów, wynajmów sal i miejsca, układów afiszów, zamówień orkiestry, dekoracji, a co najważniejsze w rozsprzedaży biletów komu popadło za oznaczoną cenę i naddatki, pomagały pani Krystynie panie komitetowi, Eliza Pareńska, żona słynnego lekarza, hojnie wspomagająca artystów i literatów, Wyspiańskiego i Przybyszewskiego, mecenasowa Zofja Federowiczowa i rektorowa Browiczowa. Ułatwiała też tym paniom pracę tradycja, żeby tak rzec, magnatka pałacu „Pod Baranami" i jego patrjarchalna gościnność. Popularność Potockich.

Był zwyczaj, że na święcone w czasie Wielkanocy i z życzeniami na Nowy Rok, szedł „Pod Barany" cały Kraków, uniwersytet, duchowieństwo, rada miejska, sądownictwo, administracja. Rzesza ta, w odświętnej gali, składała życzenia i hołd.

Hołd?

Za co?

Tak, i słusznie, zapytaliby ci, o których Józef Weyssenhoff mówił, że „nic nie wiedzą".

Nie był to hołd dla magnackiej fortuny czy władzy nad krajem, którą Potoccy dzielili kolejno z Sanguszkami, Tarnowskimi, Sapiehami i Badenimi, jako namiestnicy marszałkowie i starostowie, ale dla tego, co widocznie zostało z dawnej Polski, symbolu, nimbu minionej potęgi i wielkości.

Wielkość żyła w tęsknocie, w widoku Wawelu, Kopcu Kościuszki, w pieśni i powieści Matejki i Sienkiewicza, w nadziejach rozrostu nauki Uniwersytetu i Akademji, a towarzysko w osobach, nazwiskach rycerskich, potomków kanclerzów i hetmanów. Wyrosła ta cześć z przeświadczenia, że to dzierżenie czołowych stanowisk w kraju wynika z poczucia obywatelskiego obowiązku, nie z chęci zysku, bo do sprawowania podjętych obowiązków dopłacali, nie dla karjery, ani „załapania" przez tych wielkich panów pensji i wyderkafów...

Życie towarzyskie toczyło się w kręgu zamkniętych kółek, a te rozruszały okazje do występów na uroczystości narodowe.

Kraków rozmiłował się w historji.

Teatr grał dramaty historyczne Szujskiego, Bełcikowskiego, Kozłowskiego. Bohaterstwo przeszłości opiewały powieści Kraszewskiego, Kaczkowskiego i rozsławiał je Sienkiewicz. Coraz przypominały dzieje uroczyste obchody narodowe. Gdy odtwarzano obrazową stronę Odsieczy Wiedeńskiej przesunęły się przez miasto barwne roty jazdy polskiej i tureckich janczarów jako jeńców. Fasady domów ustrojono dywanami. Dobyły się z naftaliny na światło dzienne kontusze i z pokrowców karabele. Trzepotał skrzydłami na Bramie Florjańskiej wyrobiony z drzewa model Białego Orła i z wieży na Wawelu dzwonił Zygmunt.

Dokończenie na str. 20-ej.

PERZANOWSKA — AKTOR I REŻYSER



„Damy i huzary“ Fredry, w reżyserji S. Perzanowskiej. — Od lewej: W. Malinowski, Z. Sawan, Z. Chmielewski i J. Łuszczewski.



„Majster i czeladnik“ Korzeniowskiego, w reżyserji S. Perzanowskiej. S. Perzanowska i S. Jaracz.



„Ożenek“ Gogola w reżyserji S. Perzanowskiej. Od lewej: L. Pośpiełowski, J. Łuszczewski, S. Jaracz.
Wszystkie zdjęcia fot. St. Brzozowski — Warszawa.



W kole: S. Perzanowska jako Dulska w komedji Zapolskiej „Moralność pani Dulskiej“.

Najwybitniejszą bodaj, a w każdym razie najciekawszą kreacją aktorską Stanisławy Perzanowskiej jest Pani Dulska w arcydziele Zapolskiej „Moralność Pani Dulskiej“. Grała tę rolę Perzanowska przed 4-ma laty w teatrze „Ateneum“. Była Dulską zupełnie inną od tych, jakie dotąd spotykaliśmy na scenach. A oryginalność Perzanowskiej jest tem charakterystyczniejsza, że nigdy żadnej artystki w tej roli nie widziała. Dla Perzanowskiej Dulska — to demon głupoty. Nie jest to kobieta zła, tylko jej głupota w swych skutkach jest katastrofalna. I dlatego Perzanowska grała tę rolę z nieustannym uśmiechem z narzucaniem widzom wizji kobiety nie zamierzającej zła, ale złej przez swą głupotę.

Perzanowska zresztą lubi odtwarzać typy kobiet głupich, naiwnych a w gruncie rzeczy dobrodusznych. Świetnie też stwarza postacie intrygantek, kobiet przewrotnych (np. Belina w „Chorym z urojenia“ Moliera).

Rozwój i rozgłos Perzanowskiej jako aktorki a przedewszystkiem reżyserki datuje się od czasu jej zetknięcia się z Jaraczem i wejścia do jego teatru. Jaracz poznał ją przed 10-ciu laty w Wilnie, w teatrze Osterwy, i gdy tworzył własny teatr, w swej twórczej pracy związał się najsilniej z Perzanowską, znajdując u niej zrozumienie swych planów artystycznych i ich najlepszą realizatorkę.

Pierwszym sukcesem Perzanowskiej, jako reżyserki, na terenie Warszawy była inscenizacja realistycznego reportażu Rice'a p. t. „Ulica“. Wkrótce zdobyła sobie wielkie uznanie za wystawienie „Domu otwartego“ Bałuckiego i komedji Fredry „Damy i huzary“. Obie komedje wystylizowała na groteskę, a szczególnie oryginalną była inscenizacja „Dam i huzarów“, w których odkryła Perzanowska rytm koński. Dialogi tej komedji, jej zdaniem, rozpoczynają się od stępa, przechodzą w kłus, kończą się galopem. Ta inscenizacja Fredry, podobnie jak poprzednia „Zemsty“, opracowanej przez Z. Chmielewskiego, zbliżyła nam twórczość wielkiego komedjopisarza i była jakby początkiem jego renesansu na scenach polskich.

Perzanowska bardzo szczęśliwie i nadzwyczaj twórczo wskrzesza na polskich scenach arcydzieła Moliera, co jest możliwe przedewszystkiem dlatego, że współpracuje z Jaraczem, który, jak słusznie zauważył Boy-Żeleński, jest najbardziej moljerowskim aktorem w Polsce. Perzanowska wystawia Moliera stylowo, prostemi środkami tylko nieco go aktualizując, wydobywając niebywałe złoża komizmu z tekstu i sytuacyj, dających się wyczytać między wierszami W jej opracowaniu i z Jaraczem w rolach głównych wystawiło „Ateneum“ „Chorego z urojenia“, „Szkołę żon“ — oba przedstawienia to arcydzieła sztuki scenicznej — a obecnie przygotowuje „Świętoszka“.

W komedji, zarówno klasycznej jak i współczesnej, czuje się reżyser Perzanowska najlepiej. Ale również i dramat w jej interpretacji nabiera cech jej wielkiej indywidualności twórczej, cech szczególnie zrozumiałych dla wtajemniczonych i ludzi teatru. Można dyskutować czy jej inscenizacja „Sędziów“ Wyspiańskiego była właściwa, ale w każdym razie nosiła na sobie piętno prawdziwej sztuki.

Perzanowska ma rozsądne i twórcze podejście do sztuki i do aktora. Jest wrogiem naturalizmu, ale wyznawczynią naturalności i prostoty, głębi i skromności, a to cechuje tylko prawdziwych i dużej miary artystów.

(swb).

Czego szukasz zagranicą?



Wielkie miasto i jego uroki nęcą conajmniej 50 procent turystów... (Paryż, „Grand Salon").
Fot. Dr. Wolff.







Na prawo: Podczas gdy dla drugiej połowy pobyt w górach jest najlepszym odpoczynkiem
Fot. Keystone.



A więc proszę Państwa, jedziemy zagranicę! Bilety kupione, kufry zapakowane, wizyty pożegnalne poczynione: wnet wsiądziemy do pociągu, który już stoi „pod parą" jak koń, który czeka tylko na wyruszenie. pogrzebując z niecierpliwości nogą. Oczekuje nas też samolot, w dalszej zaś perspektywie okręt w Gdyni, w Konstanzy, Hamburgu czy Havrze.

Ale dokąd pajedziemy? Wiem, że Pani chętnie zobaczyłaby t. zw. lazur morza właśnie na Rivierze francuskiej, Pana zaś nęcą paryskie „boites de nuit", teatry, music-halle i... Paryżanki! Mój kuzyn Józef napewno by pojechał do Anglji, gdyż interesuje się wielkim przemysłem, pani Tusia zaś marzy o zobaczeniu galerji obrazów w Florencji, Medjolanie, Rzymie czy Wenecji.

Spójrzmy na mapę: repertuar jest olbrzymi...

Wenecja z gondolami i „piazza San Marco".

Berlin z olbrzymim ruchem, porządkiem, muzeami, stadjonami sportowemi.

Paryż z zabytkami sztuki, specyficznym urokiem, tysiącznemi rozrywkami.

Londyn z powagą metropolji świata, tradycją i wytworną modą męską.

Rzym z zabytkami wielkiej przeszłości, z uroczą „Villą Borghese", z wytwornem corso, z cudnym Watykanem.

U. S. A. z „amerykańskiem tempem", z Wallstreet i Fifth Avenue z drapaczami chmur i „dzikim zachodem".

Konstantynopol z meczetami, zaułkami pełnemi tajemniczości, cyprysami i melancholją.

Holandja, pełna zdrowia i dobrobytu, z polami tulipanów, wiatrakami, szlifierniami diamentów i... urodzinami małych księżniczek.

Grecja z Akropolis, oliwkami, knajpami portowemi i ... trzęsieniem ziemi.

Węgry z swą pusztą, gulaszem, zamkiem w Budzie i czarnowłosemi syrenami z nad Dunaju.

Wiedeń z swą pieśnią, „heurigerem", pamiątkami z c. k. czasów i.. Anszlusem.

Monaco z kasynem gry, wyścigami samochodowemi, „skałą samobójców" i „wielkim światem" z... całego świata.

I to ciągnie i to nęci...

Nie chcę Państwu narzucać mego zdania: wybór wolny, jedziemy gdzie kto chce.

Na naszych ilustracjach widzimy owe cuda, codopiero wspomniane: jak Państwo wrócą z podróży, będzie to zapewne za miesiąc lub dwa, powiem gdzie Państwo byli i — to jest najważniejsze — co Państwo widzieli w tych krajach. Bo nie każdy widzi to samo: ale o tem innym razem, może już wkrótce.

JGM.

KRESOWE DWORY



Pałac w Nozdrzcu, majątku pp. Skrzyńskich.

Poniżej: **Salon w dworze pp. Siemieńskich w Skwarzowie.**
Fot. Ksawery Niedobitowski — Morszyn.



Przed wojną trudno było wyobrazić sobie wieś bez dworu. Zawsze prawie gdzieś, u jej skraju, często na wzgórzu ciemniała plama soczystej zieleni, z pośród której wyglądały białe kolumienki ganku, tak rozpowszechnionego, że aż za typowy uważanego — lub smukła wieża wielkopańskiego pałacu. I był w tem odwieczny ład, była estetyka, było coś, co dodawało wsi dziwnego uroku i zwiększało jej atrakcyjność.

Dziś dwory nikną, a najbardziej surowy wyrok wydała na nie wojna. Czasem trudno wprost zrozumieć, jak człowiek kulturalny, jakim winien być oficer, mógł dać rozkaz spalenia lub zbombardowania zabytkowego domu, z nagromadzonemi w nim skarbami sztuki i nauki — niejednokrotnie bez usprawiedliwionego powodu.

I tak naprzykład w ślicznym pałacu Skrzyńskich w Nozdrzcu nad Sanem tłukli żołnierze węgierscy szablami lustra, świecżdząjac tam następnie szpital dla chorych na cholerę. Po nich przybyli do Nozdrzca Rosjanie. Ci, obawiając się widocznie rozszerzenia się choroby, jako najlepsze wyjście z sytuacji uważali podłożenie pod dom ognia. Razem z nim puścili też z dymem to wszystko, czego ich poprzednicy nie zdołali jeszcze zrabować.

W Rymanowie zimą r. 1914/15 rosyjski generał kazał wyrzucać przez okno szafy z cennemi pamiątkami i rodzinnem archiwum, by przy ogniu mogli się grzać jego żołnierze. W ten sam barbarzyński sposób zniszczono portrety i sztychy Działyńskich i Potockich, stare zbiory rodzinne, niezwykle cenne pasy słuckie, dużo starej broni i pamiątek, których nic wrócić, ani nawet zastąpić nie zdoła.

Czy jednak można krok ten wytłumaczyć takim rozgardjaszem, jakim jest wojna?

W innym dworze, w ziemi przemyskiej leżącym, dworze pełnym pamiątek po Słowackim i nieszczęsnym jego przyjacielu Szpinaglu, Lelewelu, Romanowskim, Ujejskim i tylu, tylu innych wielkich mężach, wydarto w mieszkalnej oficynie okna, pozdzierano ze ścian nawet tapety, a we wszystkich pokojach do połowy łydki brodzić można było w podartych książkach, aktach, listach. Gdyby nie to, że ważniejsze zbiory zostały wywiezione, przepadłyby cenne pamiątki zbierane przez długie pokolenia. Dziś znajdują się one w nowym domu.

W Dubiecku, starym zabytkowym zamku, wyżsi oficerowie rosyjscy pokradli cenne srebra, emalje, staropolską karabelę wschodniej roboty. W czasie kwaterunku potłuczono wiele starych kryształów.

Pocóż tu zresztą wyliczać inne dwory, z któremi wojna podobnie się obeszła? Na kresach prawie wszystkie prędzej, czy później padły pastwą płomieni. Niektóre odbudowano, ale więcej jest takich, że jeno wspomnienie po nich zostało, żal za przepadłem gniazdem i jego zblakła fotografja.

Tem więc milej i z prawdziwem wzruszeniem ogląda się te dwory, które w części uszły losowi innych i dziś znajdują się w stanie niewiele różnym od przedwojennego.

Do nich należy stary dwór w Skwarzawie, powiatu żółkiewskiego. Trudno znaleźć odpowiednie barwy, aby oddać tło, na jakiem się on wznosi. Przecież to słynne z piękności i niezapomnianych widoków lwowsko-tomaszowskie Roztocze! Jeśli stanąć na jakiemkolwiek wzgórzu, wszędzie krajobraz wesoły, rozległy, urozmaicony. Jakoś dziwnie swobodnie i raźnie się tu nawet oddycha.

W jednej z zacisznych dolin Roztocza leży wieś Skwarzawa, a opodal dwór. Prowadzi doń bardzo ciekawa i sędziwa, bo blisko na 200 lat wieku obliczana aleja modrzewiowa, tem bardziej godna uwagi, że podobnych prawie nigdzie już się nie spotyka. Należałoby też ją objąć ochroną przyrody.

U wylotu alei bieleją ściany domu wybudowanego około 1807 r., w którym to stylu powstało wyjątkowo dużo wiejskich siedzib. Posiada on niezwykle dużo charakteru i swojskości, — mimo, że stylem różni się od typu dworu, przyjętego jako polski, to znaczy posiadającego ganek z filarami. Jest to budynek parterowy, mający jeno pośrodku „górkę", zaopatrzoną od strony frontowej w jedno okno, od ogrodowej zaś w trzy. Obie fasady zdobią pół-pilastry, nadające domowi pewien rys szlachetnej powagi i stylowości. Bardzo ciekawą jest też strona wschodnia, gospodarcza, zaopatrzona w załamane pośrodku schodki i ganeczek z kolumienkami.

Wewnątrz, w ogromnym salonie, w którym z powodzeniem prowadzić można po loneza nawet z największej ilości par złożonego, obok starego stylowego urządzenia, stoją w owalnych wnękach dwa okrągłe piece kafelkowe, uwieńczone u szczytu takiemiż wazami. Kafelki zostały wykonane przed stu laty w niedalekiej stąd fabryczce w Glińsku. Ciekawe, że formy na nie nadal się tam znajdują i jeśli jaki kafelek się stłucze, można go bez trudności zastąpić nowym. Wspomniana fabryczka dostarczała wyrobów swych do wszystkich prawie okolicznych dworów, więc i dziś jeszcze często się je tam spotyka.

W innych pokojach biblioteka, trochę antycznych obrazów i sprzętów, kolekcja porcelany, oto wszystko, co kryje się w półmroku starego kulturalnego dworu, pełnego wspomnień z minionych — szczęśliwych zarówno, jak i smutnych dni.

Wokół domu rozciąga się ogród, posiadający ogromne rozmiarami, po kilka wieków liczące rozłożyste dęby-Dewajtisy.

Osobno rośnie grupa wysokich, także potężnych i leciwych topól. U skraju parku cienisty szpaler grabowy, z drugiej strony sad. Pod jakiemś drzewem niepozorny dziś kamień, w ziemię wpadnięty, na którym zatarty, ledwie czytelny napis mówi, że jest poświęcony przyjaźni. Pochodzi on pewnie z czasów romantyzmu lub nawet wcześniejszych, gdy podobne pomniki stawiano w Powązkach i Puławach.

W Skwarzawie nawet budynki gospodarcze zwracają uwagę szlachetnością linji swego założenia i rozmieszczenia.

W tej miejscowości urodził się słynny jezuita ks. Antoniewicz. W dziewiętnastym wieku należała Skwarzawa do rodziny Mniszków. Od nich nabyli ją Żarscy, dziś zaś jest własnością p. Julji z Żarskich Siemieńskiej.

Trudną obecnie placówką jest kresowy dwór polski, ale Skwarzawa znajduje się w tak pewnych, kochających ją rękach, że o los jej można być spokojnym.

Ksawery Niedobitowski.



Ciężka robota przy taczkach.



Pomoc przy pracy: mały Aś.



Dużo wody trzeba wylać z polewaczki.



Piesek Miś nie chce zjeść kamyczka.
Wszystkie zdjęcia fot. Irena Nehrebecka.

WAKACJE ELŻUNI

Córeczka moja jest trzeci raz w swem życiu na wakacjach. To jej trzecie jest lato. A w niem — rzeka, kamienie i piasek, i dużo zieleni, i obłe góry przykryte puszystym lasem, i spadzista ścieżka, i słońce, i bezmierna otchłań niebieskiej barwy, rozpiętej jak namiot przepastny.

Gdy ten urok przyrody jest tłem dla jej opalonej figurki, dla błysku jej oczu, jasności jej uśmiechu, dla jej zabaw, niespodzianek, podziwu czy zdumienia i gdy obserwuję to — wtedy doznaję dotkliwego wrażenia, że jestem ślepy. Ja przecież nic z tego nie widzę, co widzą jej trzyletnie oczka, chociaż patrzę ściśle na to samo...

Tak, jestem ślepy. Bo dla mnie góry — to są góry, a las — to jest las, a rzeka — to jest rzeka... Dla niej — nie...

Cóż to za przestrzeń czarodziejska, pełna czaru czystego jak łzy, blasku promiennego jak miłość, cóż to za bezmiar innego wymiaru, niedosięgalnego dla mnie roztacza się przed tym małym człowieczkiem gdziekolwiek stąpnie, gdziekolwiek się zwróci. Gdybym to mógł i ja tak spojrzeć jeszcze i to jeszcze zobaczyć... Ten las, w którym mieszka wilk, bardzo dobry zresztą i niedźwiedź, który wprost przepada za małemi dziewczynkami i krasnoludki, które prowadzą interesujące rozmowy na temat śniadańka czy obiadu i grzybki, obdarzone cechami małych ludzików. Ta rzeka, która wciąż coś mówi i kwiatki, które lubią być zrywane przez małą dłoń, tak niefortunnie zazwyczaj, że wogóle bez łodyżki — i te niezliczone szeregi muszek, pszczół, owadów różnych, ulubionych biedronek, i gąsieniczki i kamyczki, które nie lubią się kąpać w rzece, bo nigdy nie dolatują do jej chłodnej wody, rzucone maleńką rączką. I piesek, jeden z najbliżej wtajemniczonych, i gwiazdka, która się pierwsza ukazuje, chociaż jeszcze jest tak jasno, zawsze w tem samem miejscu — i tyle, tyle najprzeróżniejszych istot, z któremi jest tak łatwo porozumieć się, gdy się ma trzy lata...

Czarodziejski, zamknięty przedemną tak zazdrośnie świecie! Mogę być tylko dalekim, ślepym i głuchym obserwatorem tej najcudniejszej ze wszystkich bajki, którą jesteś...

W ramach tej najczystszej poezji przebiega dzień Elżuni na wakacjach. Myliłby się ktoś, ktoby sądził, że dzień ten nie zawiera elementu pracy i kłopotu. Ach, i ile jeszcze!

Bo przecież trzeba koniecznie tyle razy naczerpać wody do polewaczki i dać pić niezliczonej ilości kamieni i kamyczków, bo one też są spragnione.

I trzeba koniecznie przekonać pieska Misia, że taki wodą polany kamyczek jest idealny do natychmiastowej konsumpcji. I trzeba ciężko napracować się przy taczkach, przewożąc tam i z powrotem piasek i kamienie i temiż materjałami wyładować wózek drabiniasty, który systematycznie gubi po drodze daleko od miejsca swego przeznaczenia całą zawartość; szczęście, że znalazł się pomocnik w osobie Asia z Warszawy, bo we dwójkę praca szybciej idzie. I trzeba wszystko skontrolować mimo prażących promieni słońca; czy kwiatki pachną, czy motylki latają...

Tak,. tak... Pracy, kłopotu i trudu jest co niemiara.

A w dodatku — trzeba być przy tem wszystkiem grzeczną.

I tak mijają dni zaczarowane, dni niepowrotne, dni w bajce ściśle zastrzeżonej tylko dla ciebie. Rzeka szumi srebrzystym chłodem, słońce otacza gorącą jasnością, pszczoły się spieszą, by zdążyć z miodem potrzebnym na drugie śniadanie, kwiaty grzecznie i posłusznie pachną, krasnoludki wychodzą z lasu pod wodzą dużego grzybka i wszystko to jest czarodziejską symfonją — i twoim światem wakacyjnym — i uzdrawiającym rytmem mego serca...

Witold Zechenter.

Poniżej: **Ależ to słoneczko grzeje!**



Poniżej: **Kamienie też spragnione — trzeba dać im wody.**



NASTĘPNY 32-gi *specjalny* NUMER MAGAZYNU „AS"

poświęcony będzie dziedzinie uczuć serca, dając niezwykle barwny obraz tych wszystkich odcinków życia i sytuacyj, w których uczucia te grają dominującą rolę, a więc w obyczajowości, sztuce, nauce, historji itd.

Specjalny numer „Asa" będzie pierwszą taką kompozycją w zakresie polskich tygodników ilustrowanych: niezwykła popularność tego rodzaju wydawnictw zagranicą, świadczy o atrakcyjności ujęcia tematu.

Tak pod względem tekstowym, jak ilustracyjnym, numer specjalny posiadać będzie ciekawe, odrębne oblicze, tworząc zamkniętą dla siebie całość o nieprzemijającej aktualności.

Między innemi numer obejmować będzie następujące artykuły:

„Miłość niebiańska i miłość ziemska" **„Rozwój biologiczny wampa"**
„Telimena czy Madonne des sleepings?" **„Historja pod znakiem Wenus"**

Numer bogato ilustrowany i zdobiony w druku dwukolorowym, ukaże się dnia 7 sierpnia, po zwykłej cenie.

REDAKCJA „ASA"

Dokończenie ze str. 6-ej.

czeka ona na tę chwilę, gdy w ulu pojawi się młoda jej rywalka. W ciepły, lipcowy poranek opuszcza swe dotychczasowe królestwo, wyruszając na t. zw. rójkę w licznym orszaku swej drużyny. Pszczelarz bacznie musi uważać, by nie uszła jego uwagi ucieczka roju. Gdy ten osiądzie na gałęzi drzewa lub gdzieindziej, pszczelarz chwyta pszczoły-uciekinierki i przenosi je do nowego ula.

Cóż się dzieje tymczasem w opuszczonym przez królowę ulu? Młodziutka nowo wylęgła królowa obejmuje rządy. Raz jeden tylko w życiu swojem opuszcza ul, wtenczas, gdy otoczona trutniami wzlatuje w przestworza, aby odbyć lot godowy. Od tej chwili, zdolna do składania jajek, wraca do ula i pozostaje w nim tak długo, póki znowu nie narodzi się jej przyszła rywalka.

Przysłowiową stała się rola trutniów, które raz tylko towarzyszą królowej w jej podniebnych godach, a potem wracają do ula i pędzą zupełnie bezczynny żywot, nie biorąc udziału w życiu społecznem i korzystając z pracy robotnic. To też w jesieni, wyrzucają robotnice darmozjadów, skazując je w ten sposób na śmierć głodową.

Zanim człowiek ocenił korzyści, jakie dają mu pszczoły „udomowił" je i osiedlił w swych pasiekach, owady te żyły dziko, znajdując schronienie w spróchniałych pniach drzewnych, noszących nazwę barci. W miarę wycinania lasów dzikim pszczołom brakowało pożywienia i ilość barci malała. Obecnie pomiędzy drobnym owadem, kierującym się niezawodnym instynktem, a obdarzonym rozumem człowiekiem zostało zawarte milczące przymierze, zapewniające obu stronom stałe korzyści.

Dr. Z. M.

Dokończenie ze str. 12-tej.

Budge jest w swej obecnej formie niezrównany, ale porównywania z graczami, którzy swego czasu uchodzili także za niedościgłych zawsze zawodzą. Jeśli Budge będzie więcej razy uznany za pierwszego na świecie, aniżeli Tilden, który ma pod tym względem siedmiokrotny rekord — to wtedy historja sportu postawi go na czele. Narazie przynajmniej wyczyn Budge'a jest wspaniały, bo nikt przed nim nie zdobył w dwu turniejach w Wimbledonie z rzędu, wszystkich 6 pierwszych nagród. A walczyło o nie w tych konkurencjach razem ponad 500 konkurentów!

Rozgrywki pań pomiędzy sobą są czasami wprost nudne ze względu na powtarzające się półwysokie odbicia, ale na nowe tory pchnęła tę grę Zuzanna Lenglen. Jako pierwsza przedstawicielka kontynentu zwyciężyła w Wimbledonie i nazwano ją „Boską Zuzanną" bo nikt nie umiał z nią przez lata zdobyć chociaż seta, skoro jednak w meczu z Heleną Wills musiała Lenglen wytężyć wszystkie siły — postanowiła, że zachowa do końca życia tytuł niezwyciężonej i nie stanie więcej do zawodów. Kilka tygodni temu zmarła w Paryżu w 39 roku życia, i nie dowiedziała się o tem, że Wills prześcignęła ją jednak zdecydowanie wygrywając Wimbledon po raz ósmy!

W Polsce gramy w tenisa na kortach ziemnych, w Anglji króciutko strzyżona zieleń murawy okrywa boiska, a mimo całkiem odmiennego klimatu tak samo starają się o wygląd kortów w Ameryce i Australji. Europejczycy narzekali raz na turnieju w Sydney, twierdząc, że lepsza goła ziemia niż nierówne kępki trawy, no i życzeniom ich stało się zadość, bo nazajutrz spadła szarańcza i korty przybrały po tej wizycie zupełnie europejski wygląd. W Kalifornji dla odmiany korty mają nawierzchnię z asfaltu; w Skandynawji zaś biały sport kwitnie zarówno w lecie jak i zimą we wspaniałych halach, a monarcha szwedzki Gustaw X, mając 9 krzyżyk na barkach, jest dzisiaj jeszcze czynnym zawodnikiem.

Choć w Południowej Afryce obyczaj zakazuje murzynom grać w tenisa, który w Ameryce mają tylko odrębne kluby; niejedną klęskę ponieśli natomiast Europejczycy z rąk Japończyków. Ambitni i opanowani do ostatnich granic Azjaci doprowadzili ten sport u siebie do najwyższego poziomu i dla sławy ojczyzny swej gotowi byli dać wszystko ze siebie — mistrz ich Joshiro Satoh w chwili depresji przewidując spadek formy wolał pozbawić się życia skacząc do morza niż splamić porażką flagę Wschodzącego Słońca.

Witold Horain.

Dokończenie ze str. 14-tej.

W tym też czasie powtarzano kilkakrotnie w Sali Starego Teatru żywe obrazy, według scen z „Ogniem i mieczem". Górował wzrostem nad szlachtą i kozakami przeolbrzymiej wysokości malarz Strażyński jako Podbipięta. Straszył groźną okrutną miną brodaty Tuchaj bej, Józef Wielopolski, brat margrabiego.

Po tej zabawie, na cel dobroczynny i teatrach amatorskich, dłużej rozrywkę miastu dawały w lecie Wyścigi.

Na wyścigach biegały konie ze stadnin krajowych i ze stajen wyścigowych Austrji i Węgier. W ostatnim dniu odbywało się na ulicach korso pojazdów, konie dawały ciekawe widowisko; idąc noga za nogą od torów na Błoniach przez ulicę Wolską, a dalej kusem przez miasto.

W karnawale wzmagało się tempo życia towarzyskiego, a to przez dopływ przyjezdnych z wszystkich dzielnic dawnej Polski, z Poznańskiego, Pomorza, Ukrainy, Wołynia, Podola, Inflant, Litwy, z zagranicy. Bale, pikniki, szlichtady, wycieczki do radziwiłłowskich Balic i Okocima bar. Goetza Okocimskiego zbliżały z sobą domy polskie z dalekich stron i łączyły „z miastem", bo w małym Krakowie wszyscy się znali i zniknął przedział sfer, a nie było obawy, aby „miasto" nie zachowało właściwego dystansu.

Zabawny był i miły Kraków wtedy.

Najwięcej ruchu przyczyniała młodzież.

Jakież to figle płatali policjantom Józef Plater i Henryk Antoniewicz! Wodzireje tańców figuralnych na balach publicznych i prywatnych. Flegmatyczny Józef Wężyk, krewki rotmistrz ułanów Benjamin Romer, zamaszysty zabijaka Michał Komorowski i czupurny Tadeusz Chrząszczewski. Któż, jak świat i korona polska, zadzierżyściej tańczył mazura, jak nie Zamoyscy, Adam i Władysław? Trzeba nadmienić, że nie poprzestawali ci młodzieńcy na tańcach i flircie: studenci uniwersytetu, po karnawale ostro „obkuwali się" do egzaminów. Sporo też między młodymi było sensatów, poświęcających czas wyłącznie nauce. Historyk sztuki Emanuel Swiejkowski, poeta Sawa Pusłowski, estetyzujący Władysław Skrzyński, cięty eseista i rzeźbiarz Ludwik Puszet, krytyk teatralny Aleksander Wielopolski, statyści, ekonomiści, młodzi Moszyńscy i Popiele.

Zabawy w karnawale nie były kosztowne.

Bez rozrzutności...

Matki na balach, w perłach i brylantach, ale w tych samych, odwiecznych, jedwabnych sukniach z trenami. Panny, na biało, różowo, niebiesko, w skromnych, gładkich sukienczynach, różniły się między sobą nietylko urodą, ale innemi cechami typu, i jak z której dzielnic Polski, wymowy, twardej z Wielkopolski, mazurującej z Galicji, śpiewnej ze wschodnich prowincyj. O wykształceniu, jak wtedy, konwencjonalnem, nabytem w klasztorach w Jazłowcu, w Sacré Coeur we Lwowie, w szkole gospodarczej w Kuźnicach, w Sacré Coeur w Rzymie lub w zakładach wychowawczych w Szwajcarji. Ze sprytną konwersacją, choć urodzone z morskiej piany, nie lalki woskowe.

Ich piękność?

Imiona zdrobniałe i nazwiska smutnie wspomnieć. Wszystko mija. Te, które dożyły, dziś już staruszki, babuleńki, matrony, ruiny otoczone wiankiem wnuków.

Czas nie zatrzymał się w biegu.

Młodość, uczucie, zeschłe liście...

NEW YORK
Fot. Scherl.

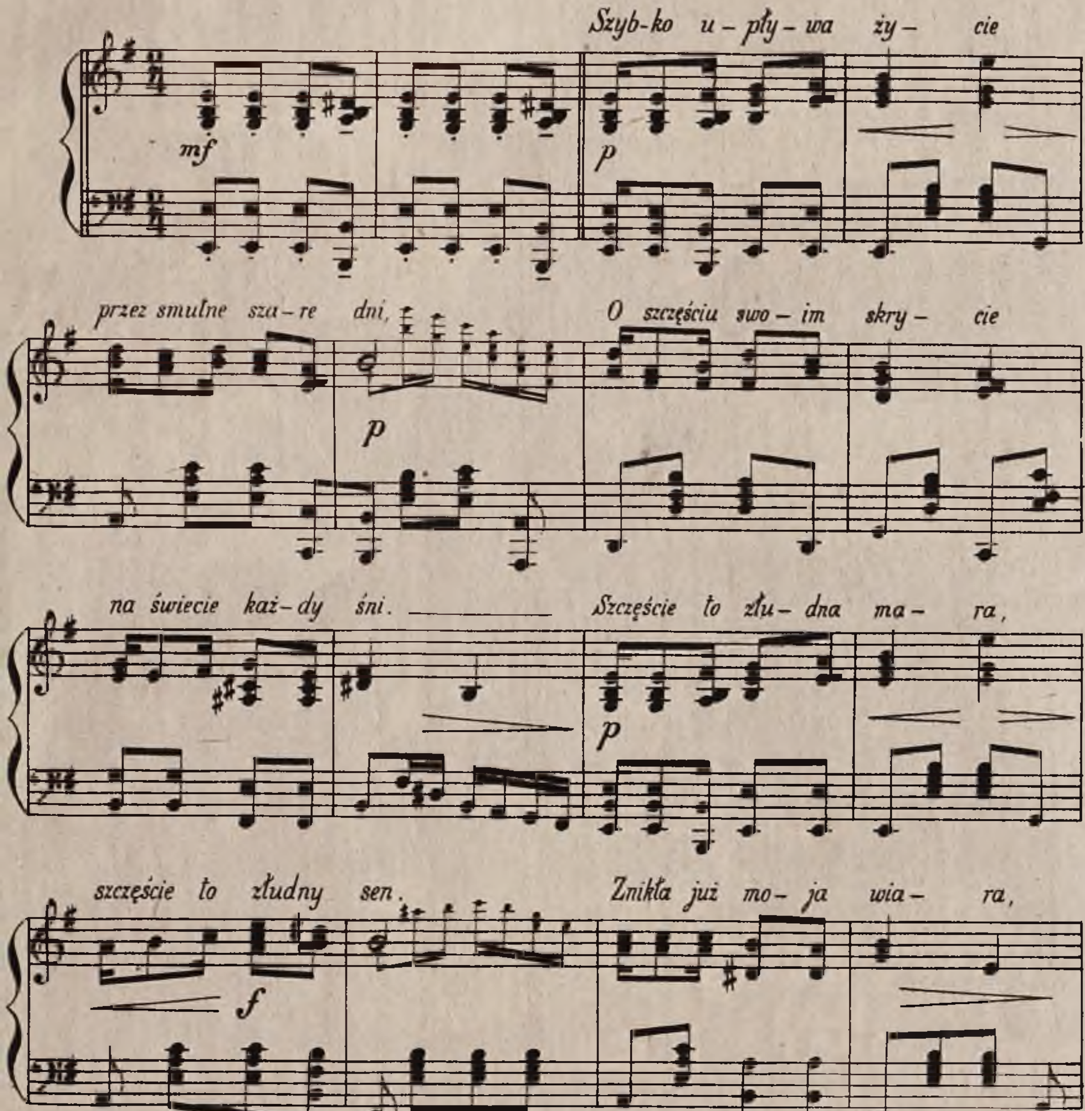


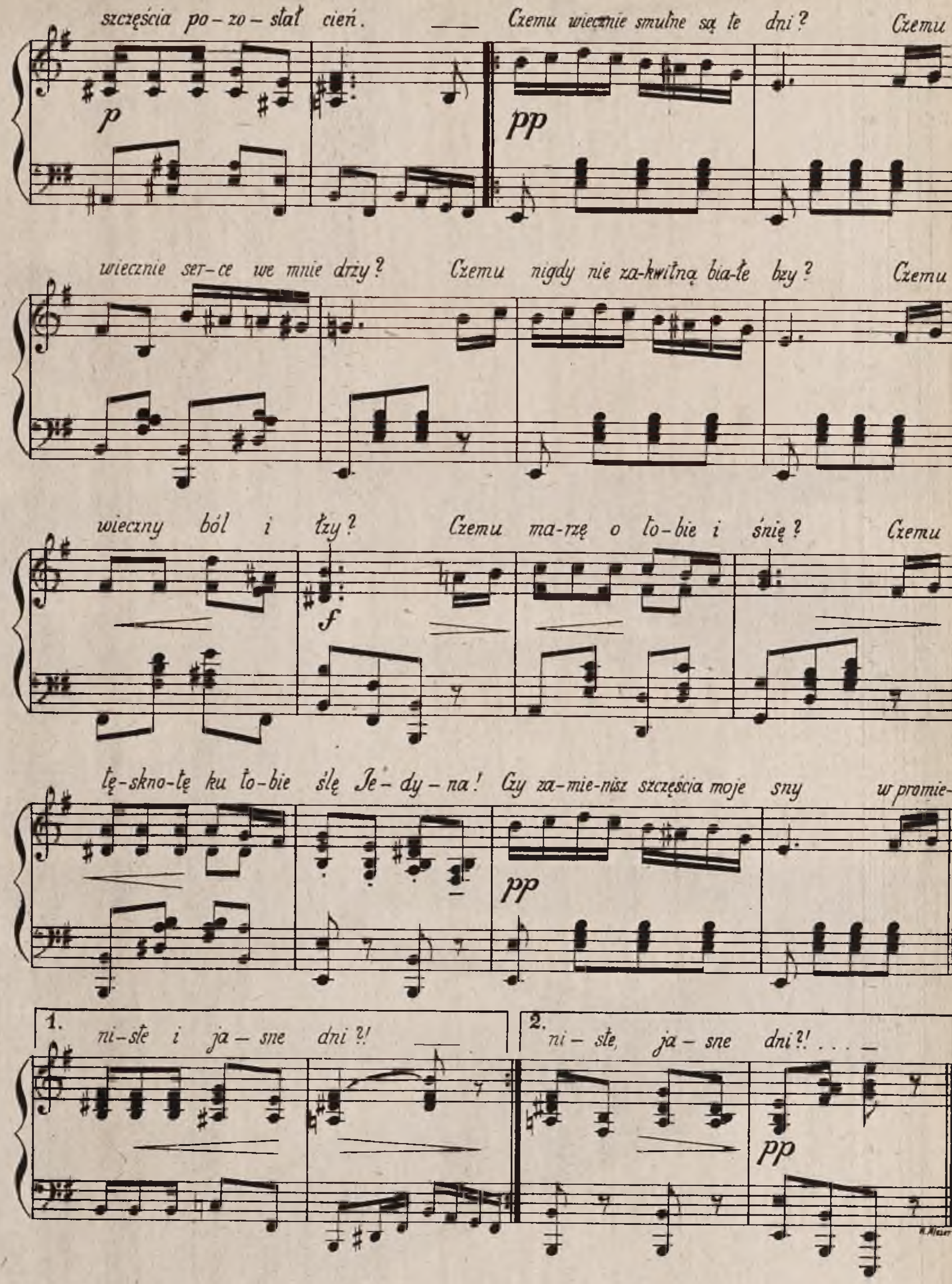
PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

CZEMU?..

TANGO

Muzyka i słowa:
A. PAWŁOWSKI





NIEŚMIERTELNIK

HELENA LIPKOWSKA

NOWELA

Jerzy Zaruski zniechęcony odkłada pióro, odrzuca papier i z ciężkiem westchnieniem, z głową wspartą na ręku, poddaje się myślom, dręczącym go od samego rana.

Naprożno walczył z nimi: trzytygodniowe doświadczenie dowiodło mu, że niezdolnym jest obecnie do żadnej pracy. A przecie czekają na sprawozdanie jego z misji, w której jeździł wysłany przez Izbę Handlową do San Francisco.

— Gdyby zdobyć wreszcie jakąś wiadomość, jakąś pewność...

Tęsknota olbrzymią falą zalewa mu znowu duszę, żal ściska za gardło.

Podnosi się gwałtownie marszcząc brwi.

— Co u licha — wzrusza ramionami, wiedziony podświadomem pragnieniem zrzucenia z nich ciężaru, jaki je przygniata — czyżby to była miłość?

— Idjoto, potrójny idjoto! — karci się w duchu — taki coup de foudre[1]) to dobre dla studenta pierwszego kursu — przecie znał ją zaledwie kilka dni i nie wie właściwie, kim jest.

— Cóż z tego? Może to właśnie najbardziej go dręczy, bo gdyby wiedział, gdzie ma ją szukać, przestałby może tak szaleńczo tęsknić — wierzyłby przynajmniej, że spotka ją się z czasem.

— A tylko nie z czasem — buntuje się w nim wszystko — muszę ją zobaczyć zaraz, w tej chwili...

Jerzy zaciska dłońmi skronie.

— Czyż to możliwe — zapytuje siebie ze zdumieniem — bym ja, zawsze tak opanowany, niewierzący w żadne głębsze uczucia, zakochał się jak sztubak?

— Tak, złoty mój chłopcze, kochasz mnie — mówi mu słodki uśmiech najpiękniejszych w świecie błękitnych oczu, które widzi tak wyraźnie, że olśniony przymyka powieki, by dłużej zatrzymać rozkosznie złudzenie.

I wydaje mu się, że uszu jego dolatuje krzyk mew, że czuje zapach morza, słyszy wesoły śmiech dwóch młodych Amerykanek, grających w pobliżu tenisa... Wystarczy tylko wyciągnąć rękę, by ująć ciepłą aksamitną dłoń pachnącą „Folie bleue"[2]).

Wie, że już przez całe życie ten ulubiony jego zapach łączyć się będzie ze wspomnieniem o niej. Było w nim coś tak upajającego, coś tak subtelnego, że przy pierwszem zaraz spotkaniu nie mógł się powstrzymać, by nie zapytać, jak się nazywają perfumy, których używa.

— Folie bleue — uśmiechnął się gorzko — symboliczne określenie ich krótkiego stosunku — bo czyż nie było to zaiste wśród błękitu fal i nieba, błękitnem szaleństwem?

Jerzy nerwowo zapala papierosa — ręka mu drży. I znowu ten prosty ruch nasuwa nowe wspomnienie — wspomnienie ich pierwszego spotkania.

Tego samego dnia, w którym statek opuścił port, wieczorem po obiedzie, zwabiony ciepłem cudownej pachnącej morzem nocy, wyszedł na pokład, by wypalić papierosa. — Oparty o barjerę, zapatrzył się w okrytą mrokiem bezkresną dal, którą od czasu do czasu rozświetlał słaby migotliwy odblask, płynący z gwiazd. Wokoło wyczuwało się pulsujące tajemnicą życie głębin nieznanych. Ciszę mącił jedynie miarowy plusk fali.

— Pan zdaje się pali? Czy mogę poprosić o ogień? Zapomniałam zapałki u siebie w kabinie.

Drgnął wyrwany z zadumy, nie zdając sobie sprawy z tego, co do niego mówią.

— Czy mogę prosić o ogień — powtórzył miły dźwięczny głos.

— Przepraszam panią — tłumaczył się, zapalając pośpiesznie zapalniczkę i przesłaniając od wiatru błękitnawy płomyk — byłem tak zamyślony, że nie zauważyłem, kiedy pani podeszła.

— To ja raczej powinnam pana przeprosić za to, że zamąciłam mu chwilę ciszy i rozmyślań, ale jako palacz łatwo pan zrozumie i usprawiedliwi tę nieprzepartą chęć zaciągnięcia się papierosem po obiedzie.

W półcieniu, panującym w tej części pokładu rysów jej rozróżnić nie mógł, wiedział jednak, że ma przed sobą wysoką, szczupłą kobietę, ruchy jej i głos mówiły, że jest młodą, a sposób, w jaki paliła i zapach perfum, o tem, że jest wytworna.

Wypaliwszy papierosa, rzuciła go ruchem niedbałym do morza i chciała się oddalić, ale jemu mimowoli na usta wyrwały się słowa:

— O proszę, niech pani jeszcze nie odchodzi, niech pani poświęci parę chwil samotnemu podróżnemu.

Rozmowa pomiędzy nimi potoczyła się łatwa, prosta, ale bynajmniej nie banalna. Mówili, jak starzy znajomi o uroku dalekich podróży, o niedocenianiu czaru morza przez większą część pasażerów, trawiących czas w jadalni, salonach gry i w barze; wspominali najpiękniejsze zakątki świata, jakie kiedykolwiekbądź zwiedzili. On napomknął coś o misji, w której udawał się do San Francisco, a ją tak to zainteresowało, że musiał wdać się w szczegóły i po pytaniach, jakie mu stawiała, zorjentował się, że ma przed sobą bardzo inteligentną, o niepospolitej bystrości umysłu kobietę.



Przegawędzili tak do późna w nocy. Żegnając się przedstawił się jej, a gdy odprowadził ją do kabiny i ujrzał w pełnym blasku światła, zdumiał się jej urodzie: aczkolwiek klasycznie piękna twarz jej o olbrzymich błękitnych oczach bynajmniej chłodną nie była — przeciwnie opromieniał ją wyraz jakiegoś ciepłego czaru, którym musiała zjednywać sobie wszystkich od pierwszego wejrzenia.

Nazajutrz spotkali się z samego rana przy śniadaniu, w porze, w której większość podróżnych spoczywa jeszcze w objęciach Morfeusza. Nie rozstawali się prawie przez cały dzień.

— Jakie to dziwne — rzekła do niego w zamyśleniu wieczorem, kiedy znów znaleźli się na pokładzie, otuleni mrokiem nocy — wydaje mi się, że znamy się od wieków.

Ujął dłoń jej w swoje i, podniósłszy do ust, długo przy nich zatrzymał. Jakieś nieznane wzruszenie ściskało go za gardło.

— Niech mi pani opowie coś o sobie — poprosił cicho.

Łagodnie oswobodziła doń z jego uścisku i przez chwilę zdawała się namyślać.

— Poco? — rzekła wreszcie — czy nie lepiej, byśmy o spotkaniu tem zachowali wspomnienie, jak o nierealnej bajce? Zresztą czy panu nie wystarcza, że nazwisko moje brzmi Kühn? Jak pan widzi całkiem prozaicznie. Jakby pan zareagował, dowiadując się naprzykład, że jestem manicurzystką, pedicurzystką, utrzymującą się z obcinania mniej lub więcej apetycznych paznokci i odcisków różnych podagrycznych i zartretyzowanych typów, lub właścicielką hurtowni śledzi, dla której treścią życia jest cena na te słone rybki?

Nie nalegał, zapytał tylko jeszcze:

— Czy jest pani wolną?

Przez chwilę milczała, potem zaśmiała się tym sobie właściwym melodyjnym dźwięcznym śmiechem i odparła:

— Jestem wdową.

I do samego końca podróży, gdy tylko rozmowa zwracała się na tory, mogące naprowadzić na szczegóły jej osobistego życia, starała się zręcznie zmieniać temat. Na tem pozostało.

Jerzy ciężko westchnął. Z rękami w kieszeniach przemierzył pokój, zatopiony we wspomnieniach tych tak promiennych, a niestety krótkich chwil wspólnej podróży.

Oto widzi znowu jej twarz ożywioną lekkim rumieńcem, jej oczy rozbłysłe zachwytem podczas gry Laniego, który zgodził się dać koncert, słyszy dźwięki Kreutzerowskiej sonaty, a serce bije mu w piersi przyśpieszonym rytmem. Czuje, że zbliża się do tych najdroższych, niezapomnianych chwil, których wspomnienie rozbrzmiewa mu w duszy aż do bólu potężnym akordem....

Po owym koncercie byli oboje na balu, wydanym przez kapitana dla pasażerów. — Wśród strojnego rozbawionego tłumu, gdzie prawie nikogo nie znali, czuli się tak odosobnieni, jak wśród nocnej ciszy na pokładzie, z tą tylko różnicą, że muzyka i nastrój balowy rozkosznie ich podniecały.

Wspaniała toaleta z błękitnego adamaszku i starożytne klejnoty z turkusów podnosiły jeszcze jej urodę. Zdawała sobie z tego sprawę i była uroczo zalotna.

Wśród nocy, posłuszni impulsowi, który jednocześnie skierował tam ich kroki, znaleźli się na zwykłem miejscu pokładu i tu

[1]) piorunujące wrażenie.
[2]) błękitne szaleństwo.

wyczerpani trawiącą ich tęsknotą, niezdolni do dłuższego oporu, padli sobie w ramiona.

Jakie pachnące świeże wydały mu się jej usta — jak wyraźnie do dziś dnia czuje ich smak!

Odrywali się od siebie na chwilę tylko, by zaczerpnąć tchu i znów spragnieni zapamiętywali się w niekończącym się pocałunku. Czuł, że wiotczeje mu w ramionach, że lgnie cała do niego i szepnął jej upojony:

— Chodź —

Nie opierała się, tylko osłabła z nadmiaru uczuć wsparła się na jego ramieniu i dała się zaprowadzić do kabiny. A kiedy drzwi się za nimi zamknęły, oswobodziła się z jego objęć i kładąc mu obie ręce na ramiona, zajrzała głęboko w oczy i rzekła cicho:

— Chłopcze mój złoty —

Kiedy w upojnem zapamiętaniu obsypywał pocałunkami jej prześliczne smukłe ciało, odrywając się od niego na chwilę tylko, by podziwiać strzelistość nóg, toczone ramiona i dziewczęco drobne piersi, zauważył nagle, że płacze. Przykro tem zaskoczony, zapytał ją cicho:

Maleńka, co tobie?

— To nic — odrzekła uśmiechając się przez łzy — to ze szczęścia...

Spędzili dwa dni, ostatnie dwa dni w czarownym świecie upojeń, darzących ich co chwila nowem wrażeniem, nową niespodzianką. Jej uroda w czasie tych przeżyć zdawała się jeszcze potęgować.

— Rozkwitłaś jak wspaniała róża — zwykł do niej mawiać, podziwiając jej piękno z nigdy niesłabnącem, pełnem wdzięczności zdumieniem.

Jednakże pomimo zbliżenia, w dalszym ciągu unikała wszelkich szczegółów dotyczących jej własnego życia, nie pozwoliła mówić o przyszłości, a kiedy nalegał w wilję przybycia statku do portu, by parę dni spędzić razem na lądzie, odrzekła wreszcie:

— Bądź cierpliwy, kochany. Jutro spotkają mnie przyjaciele, do których jadę i u których zamieszkam. Pozwól mi zastanowić się, nie będzie to trwało dłużej niż jeden dwa dni, a kiedy się rozejrzę, dam ci znać, gdzie mamy się spotkać.

Ciężkie westchnienie wyrwało się z piersi Jerzego: dotrzymała obietnicy, napisała do niego, ale jakże inną była treść krótkiego listu, od tej, której się spodziewał! Chociaż w uniesieniu podarł list na strzępy, pamięta każde słowo:

„Najdroższy!

Nie staraj się ze mną spotkać, bo usiłowania Twoje byłyby próżne — nigdy nie zdołasz mnie odnaleźć.

Nie pytaj dlaczego tak postąpiłam, wierz jedynie, że tak będzie najlepiej dla Ciebie, — dla mnie, szczególnie dla mnie.

I to jedno jeszcze: wiedz, że pisząc te słowa opłakuję je łzami gorzkimi, bo chyba nigdy nikogo tak nie kochałam jak Ciebie.

Żegnaj, mój chłopcze złoty, mój chłopcze z bajki czarownej, z niezapomnianej bajki.

Iza".

Dlaczego, dlaczego? — nasuwa się po raz tysiączny dręczące pytanie. Kim ona właściwie była?

Ostry dźwięk dzwonka wtargnął w ciszę pokoju, wstrząsając nerwowem drgnieniem ciałem Jerzego. Niechętnie podchodzi do telefonu i ujmuje słuchawkę.

— Jureczku, cóż to tak brzydko się sprawujesz: dowiadujemy się, że bawisz tu od przeszło dziesięciu dni i nie raczyłeś odwiedzić twoich starych przyjaciół?

— Janko, jakaż miła niespodzianka! Myślałam, że przebywacie jeszcze dotąd na wsi.

Jerzy czuje jak mu „ciepło" zrobiło się w sercu na głos tej najmilszej towarzyszki dni dziecięcych, najserdeczniejszego przyjaciela lat młodzieńczych.

— To nie jest żadne tłumaczenie: trzeba było dowiedzieć się, zatelefonować. Za karę musisz zaraz się stawić. —

— To nie kara, a największa rozkosz. —

— Milcz, wstrętny obłudniku, zamiast przypochlebiać się, przyjeżdżaj natychmiast na obiad.

W telefonie rozlega się trzask odkładanej słuchawki.

Jerzy uśmiecha się, jakże to szczęśliwie się składa, że Jankę zobaczy, że będzie mógł nareszcie z kimś pomówić o tym co tak boli, może Janka znajdzie jakąś radę? A mąż jej to strasznie miły chłopak, widział go coprawda raz tylko w dniu ich ślubu, Janka wymogła by wypili bruderszaft i byli przyjaciółmi — zdaje się przyjdzie to im z łatwością.

Jerzy gorączkowo ubiera palto, szybko zbiega ze schodów, wskakuje do pierwszej z brzegu taksówki i już po chwili dzwoni do drzwi swych przyjaciół na drugiem piętrze nowoczesnego bloku. Błyszcząca nowa tabliczka mosiężna z napisem „Zygmuntostwo Borowscy" świadczy o tem, że niedawno tu została przybitą.

— Zygmuntostwo — uśmiecha się Jerzy — jak to komicznie brzmi w zastosowaniu do Janki, przecież przed trzema miesiącami jeszcze, gdy ją ostatni raz widziałem, była panną.

Drzwi się otwierają i Jerzy wpada w ramiona „państwa Zygmuntostwa", przechodząc kolejno z ramion żony w ramiona męża.

Pytania i odpowiedzi następują bezładnie jedne po drugich, ale to nic nie szkodzi, bo właściwie nikt nikogo nie słucha, wystarcza im, że są razem, że słyszą dźwięk swoich głosów. Przy zupie gorączkowy nastrój pierwszych chwil spotkania po dłuższem niewidzeniu uspokaja się. Uśmiechają się do siebie, już znaczenie wypowiadanych słów dociera do ich świadomości.

— Jureczku, opowiedz nam swoje wrażenia z San Francisco, umieram z ciekawości, mówi Janka, nakładając gościowi pieczeń na talerz.

Chmura osiada na czole Jerzego, ale Janka zajęta teraz potrawami nie widzi tego, a Zygmunt zakochanym wzrokiem śledzi każdy ruch żony. Jerzy ma więc czas zapanować nad sobą, a umysł jego, przyzwyczajony do dyscypliny, wskrzesza posłusznie w pamięci skrzętnie zanotowane podczas pobytu w San Francisco szczegóły, któremi dzieli się z przyjaciółmi.

Powoli ożywia się, a uwaga słuchaczy jest dla niego bodźcem, który każe mu z wrodzoną werwą i plastyką odmalowywać obrazy z życia dalekiego miasta.

Potem mówi o swej misji, o korzyściach, mogących wyniknąć dla naszego kraju ze stosunków handlowych z Ameryką Północną i obiad niespostrzeżenie dobiega końca.

Czarną kawę własnoręcznie podaje im Janka w salonie, a kiedy Jerzy zwraca się do niej z zapytaniem, jak tu sobie życie urządziła, odpowiada z tajemniczym uśmiechem:

— Za chwilę pokażę ci mój warsztat pracy, gdyż muszę Zygmuntowi dopomóc. Poza tem cóż: Zygmunt z powodu dużego ruchu budowlanego ma sporo zajęcia, w tej chwili buduje aż cztery kamienice nowe; bardzo często nie ma nawet czasu przyjechać na obiad.

— Oj, nie wierz mu — przekomarza się Jerzy — to zwykła wymówka młodych mężów.

Janka siada na poręczy fotela męża i tuląc twarz do jego głowy, mówi:

— Nic z tego, nie zdołasz poróżnić mnie z moim starym. Wypiłeś już? — pyta po chwili, ześlizgując się na ziemię i zaglądając do filiżanki Jerzego. — No to chodź!

Bierze go za rękę i prowadzi przez przedpokój na schody do drzwi wejściowych naprzeciwko ich mieszkania.

— Widzisz — wskazuje mu palcem białą emaljowaną tablicę, na której widnieje napis: „Jeanne — Institut de Beauté".

Jerzy patrzy kolejno na Jankę i na tabliczkę, wreszcie pyta:

— To twój gabinet kosmetyczny? — Janka z dumą kiwa głową.

— Chodź — mówi — pokażę ci wszystko. Dwupokojowe mieszkanko zostało całkowicie przystosowane do kosmetycznych zabiegów, wszystko tu błyszczy nowością, czystością, a biało lakierowane mebelki kryte kretonem w pastelowe kwiaty, wyglądają wprost kokieteryjnie.

Janka pokazuje elektryczną maszynę do masażu, jakieś niklowe przedmioty, przypominające narzędzia średniowiecznych tortur, objaśnia ich zastosowanie.

— Ach, mój drogi, w tajemnicy przed wszystkimi — nie chciałam o tem mówić przed czasem — rok cały uczęszczałam na kursy doktor Marszewskiej i skończyłam je z odznaczeniem. Nie masz pojęcia — ożywia się — jaki ta kobieta talent posiada, robi wprost cuda ze swemi pacjentkami!

— Janko — zwraca się Zygmunt do żony — pozwól Jerzemu wypalić papierosa po obiedzie, a ponieważ tu palić nie wolno, chodźmy do mego gabinetu.

Wracają do mieszkania młodego małżeństwa. Jerzy z przyjemnością zagłębia się w wygodnym klubowym fotelu, wyjmuje papierosa, rozglądając się wokoło. Nagle wzrok jego pada na gabinetową fotografję w srebrnej ramce na biurku Zygmunta. — Ciemno mu się robi w oczach, ręka z papierosem podniesionym do usta opada... — Podnosi się gwałtownie z fotela i podchodzi do biurka. Tak, nie może mieć wątpliwości — to ona, Iza, jego jasnowłose ukochanie!... Myśli kłębią się mu pod czaszką: skąd tu jej fotografja? Boże, byle się w obecności Zygmunta nie zdradzić. Może nareszcie czegoś się dowie...

W gardle mu zaschło, przełyka ślinę i pyta, starając się zachować spokój:

— Kto to?

Odpowiada mu wesoły śmiech Janki.

— To... to żywa i najlepsza reklama doktor Marczewskiej: moja teściowa.

Jerzemu szumi w uszach, nie rozumie jeszcze, nie chce rozumieć...

— Prawda, jaka piękna? — słyszy głos Janki, płynący, jak mu się zdaje, z oddali.

— Jakto — wydobywa z siebie z trudem — przecież nazwisko Zygmunta — Borowski?

— A mamy Kühn? To, ty ją znasz? — ciągnie: — To nazwisko jej drugiego męża, który umarł parę lat temu. A ile byś jej dał lat? Ma pięćdziesiąt osiem — wyrzuca z siebie z triumfem — a wygląda tak dzięki temu, że od piętnastu lat jest pacjentką doktor Marczewskiej! Ale co tobie, Jerzy? Boże, jak strasznie zbladłeś!

Jerzy z trudem łapie powietrze.

— To nic — mówi z wysiłkiem — miewam często jakieś ataki od czasu powrotu z podróży. Pozwólcie, że was opuszczę, muszę zażyć kropli, które mi doktor przepisał.

Szczerze zatroskani żegnają go. Zygmunt proponuje, że go odprowadzi, ale Jerzy opiera się temu stanowczo.

Gdy drzwi wejściowe zatrzaskują się za nim, zbiega z drugiega piętra, ale na pierwszem już zatrzymuje się, czuje potrzebę skupienia, które pozwoli mu zrozumieć to, co go spotkało.

„Moja teściowa" — brzmią mu w uszach słowa Janki i czuje, jak w piersi jego wzbiera ból nieznośny, pomieszany z jakimś gorzkim wstrętem. Powieki go palą strasznie od siłą powstrzymywanych łez i pomimo swoich lat dwudziestu siedmiu, ma ochotę krzyczeć i tupać nogami, jak to zwykł był czynić, będąc małym chłopcem, kiedy mu czegoś odmawiano.

I odtąd w jego wspomnieniach miejsce róży zajął... nieśmiertelnik!

„DOLCE FAR NIENTE"

ŻYCIE
TOWARZYSKIE i ARTYSTYCZNE

POWRÓT ARTYSTKI NA DESKI SCENICZNE



Świetna artystka Teatru Polskiego w Poznaniu, Elżbieta Łabuńska, powróciła po ciężkiej chorobie na scenę, występując w dramacie Sheldona „Historja dwóch serc" i kreując po mistrzowsku postać Rity Cavallini. Elżbieta Łabuńska jest w swej grze pełna ekspresji w finezyjnych odcieniach.

„W PERFUMERJI" W TEATRZE MALICKIEJ



Irena Szabelakówna i Włodzimierz Łoziński tworzą piękną parę amantów w komedji p. t. „W perfumerji", reżyserowanej przez Z. Sawana i cieszącej się powodzeniem. fot. Forbert.

JAN KIEPURA Z ŻONĄ W ZAKOPANEM

Słynny nasz rodak nie omieszkuje nigdy odwiedzić Zakopanego, które w ostatnich czasach stało się atrakcją dla turystów z całego świata. Oto widzimy Jana Kiepurę z małżonką w towarzystwie (po lewej) nacz. red. I.K.C. Marjana Dąbrowskiego i jego małżonki p. Michaliny Dąbrowskiej oraz dr Edwarda Stenza, dyr. Obserwatorjum na Kasprowym Wierchu.

Fot. Krzeptowski — Kasprowy Wierch.



WACŁAW PŁOŃSKI RZEŹBIARZ Z ZA OCEANU



Wśród artystów polskich, zamieszkałych w U. S. A., poważnym dorobkiem wykazuje się Wacław Płoński, który ostatnio w r. 1936 urządził wystawę zbiorową swych dzieł w „Zachęcie" w Warszawie. Wśród licznych wybitnych dzieł Płońskiego znajdujemy również ciekawe popiersia znanych osobistości, m. in. b. min. A. Zaleskiego.

300-LECIE LUDWIKA XIV



Z okazji 300-lecia urodzin Ludwika XIV, przygotowuje Paryż różne imprezy artystyczne i historyczne. W pałacu wersalskim urządzono przedewszystkiem wielką wystawę obrazów historycznych z tych czasów. Na zdjęciu widzimy chwilę zawieszania portretu króla pędzla H. Tastelina.

Fot. Trampus.

SUKCESY ZNANEGO JAZZBANDU



Jedną z czołowych orkiestr jazzowych w Polsce jest znany zespół Romana Messinga. Po sukcesach w kraju, wyjeżdża on w najbliższym czasie zagranicę, obecnie zaś produkuje się w Katowicach, gdzie cieszy się dużem powodzeniem. Na zdjęciu kapelmistrz Roman Messing.

SPOTKAMY SIĘ NA PLAŻY

Każde środowisko ludzkie, po ukonstytuowaniu się, poczyna rozpadać się na pewne kategorje i „odcienie“. Tworzą się „typy“ ludzkie, zależnie od wrodzonych inklinacji, okoliczności i możności. Tak samo dzieje się na plaży.

Ten tłum ludzi, którzy porzucili swe miasta, warsztaty pracy, zajęcia, kłopoty i rozrywki miejskie, a przyjechali tu jedynie po to, aby się opalić na plaży, aby spędzić czas na „dolce far niente“, na monotonnem może nieraz, ale jakże odżywczem „wałęsaniu“ się, również obejmują takie specyficzne typy, które życie plażowe pojmują w różnorodny sposób.

A więc najprzód spotykamy „snobów plażowych“: ludzi, którym najbardziej leży na sercu, aby być zawsze „in the right place“, zawsze iść z modą, zawsze znajdować się w pierwszych szeregach towarzystwa. Chodzi im nie tyle o dobry co znany hotel, gdzieby spotkali państwa Iksińskich i Ipsylońskich, gdzieby widziano ich i opowiadano o nich. Ten typ ludzi może najmniej korzysta z słońca, a więcej z światła elektrycznego. Jeżeli robią wycieczki, to tam, gdzie „wypada“ być, nie tam, gdzie jest ładnie i zdrowo. Zażywanie sportów również jest u nich



Na prawa: Na plażach amerykańskich nieraz widuje się mężczyzn w czerwanych płóciennych garniturach...



Oto urocza mieszkanka plaży w praktycznym kostjumie kąpielowym.
Fot. Anders.



Wytworna pani „przygotowuje“ sobie kąpiel w morzu, wsypując do niego sole pachnące! („Esquire“).



...lub też w flanelowych białych spodniach i kolorowym swetrze w pasy.
(„Esquire“).

ograniczone pewnem „savoir vivre‘m“: panie z tej kategorji uważają morze za rodzaj wanny, tylko oczywiście nieco większej, która należy jedynie do nich. Na naszej ilustracji widzimy taką panią, wsypującą do morza flakon z „salts“, z solami, aby woda była pachnąca i miła!

Druga kategorja to znowu ludzie „dzicy“. Poprostu zrzuciwszy skórę miejską, przeistaczają się w starych morskich wygów. Żadna temperatura ani morza, ani powietrza, żadne trudności w wykonywaniu sportów nie są dla nich za duże. Chcą nabrać na zapas tej odżywczej atmosfery morza i na cały rok zaopatrzyć się w energję idącą z słońca i wody. Ludzie ci, zwykle sympatyczni, wędrują po piasku jakby to był asfalt ulicy, hałasują, odżywiają się skromnie i bez wyboru, a punkt ciężkości swego pobytu kładą jedynie na... wyzbyciu się cech miejskich. Ci entuzjaści morza stają się zresztą coraz liczniejsi.

Lecz są też inne kategorje ludzkie na plaży: są poeci, siedzący godzinami nad brzegiem morza i „wpatrujący“ się w lazur jego. Rymują wtedy jakieś dziwaczne strofy i układają na wyrost wiersze, któremi później, może w zimie, może w jesieni, będą zasypywać pisma czy też ubóstwiane przez siebie kobiety.

W tej kategorji spotkamy też trochę kobiet, ale są one praktyczniejsze, jeżeli są rozmarzone i poetycznie nastrojone, to taki nastrój kończy się zwykle małżeństwem. Nie należy im też zbytnio ufać.

Jeszcze inną kategorję stanowią brydżyści i wogóle ludzie oryginalni. Dla nich plaża, słońce, piasek, niebo, morze itp. akcesorja są tylko na to potrzebne, by wieczorem usiąść przy zielonym stoliku i zagrać w brydża. Jest to ich wytchnienie, ich rozrywka, ich opalanie się.

W każdym razie jedno jest pewne: ludzie, wszystkich kategoryj, pozbywają się swych zwyczajów „normalnych“, przypominając rozbawione, swawolne dzieci, którym wszystko wolno, i nad którymi nie czuwa sroga matka czy bona. Wytwarzają się nowe formy towarzyskie, przypominające „savoir vivre“ z czasów epoki kamiennej, nowe, pierwotne jakieś maniery zaczynają wchodzić w życie i wszystkim jest z tem wyśmienicie. Swoboda stroju i nastroju, oto hasło dnia. Dlatego też wszyscy ci ludzie, snobi i brydżyści, entuzjaści pływania i poeci, tacy czy inni tworzą wielką, rozbawioną rodzinę, jakąś wodną międzynarodówkę, której hasłem jest: „ludzie z plaży łączcie się!“

J.

MAGJA ZAPACHÓW

Z pięciu zmysłów, jakiemi obdarzyła nas natura, najmniej doceniamy zmysł powonienia. Czy przyszło nam kiedyś na myśl, jak bardzo zubożyłyby nasze wrażenia, odbierane z otaczającego nas świata, gdyby wykreślić z nich te wszystkie, które wchłaniamy zapomocą — jakże to brzmi prozaicznie — nosa! Ten niepozorny narząd, zdobiący lub szpecący, zależnie od swego kształtu i proporcyj ludzką twarz, jest odbiornikiem wrażeń węchowych, z których różnolitości i sugestywności niełatwo sobie zdać sprawę.

Zapach... W samem pojęciu tem jest coś tak nieuchwytnego i nawpół tylko materjalnego, że ważkość jego uchodzi naszej uwadze. A jednak każdy przyznać musi, że nic tak silnie nie sugeruje pewnego nastroju, nic tak nie zasila naszej wyobraźni i zdolności przypomnienia, jak zapach. Uderzając nasz zmysł powonienia, stwarza wkoło nas pewną atmosferę, której składniki budzą szybkie, lotne, a jakże plastyczne cykle asocjacyj myślowych i — zmysłowych.

Któż z nas nie zna nagłego przypływu wspomnień pod wrażeniem zapachu zeschłego płatka róży, odnalezionego przypadkowo w starym notesie lub dawno nieczytanej książce? Któż nie odczuł nastroju, emanującego z zetknięcia się z zapamiętanym z dzieciństwa zapachem wiejskiej spiżarni, która stanowiła dla nas kiedyś niedostępny raj, z którego wyganiano nas z uporem anioła z mieczem ognistym? Zapach świeżego, dopiero co z kuchni przyniesionego razowca mieszał się subtelnie a wymyślnie z wonią lipowego miodu, wyziewem zczerniałych wianków kiełbasy wiszącej pod pułapem na drągach i czerstwym, kwaśnym posmakiem, bijącym z glinianych dzież z kwaśnem mlekiem i zawiesistą śmietaną. Górą na półkach uszeregowane w wojskowym porządku słoiki z konfiturami nie wydawały żadnego zapachu, choć one właśnie stanowiły cel naszych pożądliwych westchnień, ale mimo to wspomnienie ich, a nawet smak przypomina nam zawsze zapach wiejskiej spiżarni!

Wszystkim najgłębszym i najsilniejszym naszym przeżyciom towarzyszą pewne cykle wrażeń węchowych — wiążące się potem z niemi we wspomnieniu. Zapach pożółkłych, starych, dawno nieczytanych listów na dnie tajnej skrytki w antycznym sekretarzu, to zapach dawno umarłej pierwszej, a może i jedynej miłości. Mistyczna woń kadzidlanych dymów, snująca się nierealnemi smugami w świetle migotliwych świec — to nasze najgłębsze religijne wzruszenia, „woń" modlitwy i wiary... Zapach wilgotnej ziemi i nawpół zeschłych liści, szeleszczących pod naszemi stopami w jesiennej — rdzawo-złotej alei parkowej — to melancholja i zaduma jesieni, zapach tego co się kończy i zamiera, a jeszcze piękne jest i wzruszające.

Pachnie każdy krajobraz, pachnie każda pora roku, pachnie każdy kraj... Jakże inną jest woń górskiego lasu, sytna rozgrzaną w słońcu żywicą i wilgotną, chłodną wonią mchu od słonego, jedynego w swoim rodzaju zapachu morza, pachnącego wiatrem i dalą, rybami i wodorostami, schnącemi w słońcu sieciami rybaków i wilgotnym piaskiem, zmywanym słoną, pienistą falą przybrzeżną.

— — — — —

Najsubtelniejsze arkana białej magji zapachów od najdawniejzych epok stały się niebezpieczną bronią w rękach kobiet. Wcześnie pojęły one ich sugestywną moc, ich wnikliwy i podstępny czar, któremu tak trudno się oprzeć. Już starożytność znała wonne olejki i pachnidła, a z chwilą odkrycia Wschodu, ambra, piżmo czy sandałowe drzewo stanowiły poważną pozycję w handlu kolonjalnym. Bezcenne „wonie Arabji" były ówczesnym elegantkom tak samo potrzebne, jak dzisiejszym kobietom paryskie perfumy. Kleopatra czy Lukrecja Borgia, pani de Pompadour czy Cléo de Mérode uważały — nie bez słuszności, że nic tak nie potęguje zmysłowego czaru kobiety, jak subtelny obłok perfum, otaczający ją nieuchwytną a jakże charakterystyczną atmosferą. Odpowiednio do typu fizycznego i psychicznego dobrany zapach wiąże się w swoisty sposób z obrazem jego właścicielki.

„Ce que femme veut, Dieu le veut" — mówi stare francuskie przysłowie. Ponieważ kobiety chciały mieć piękne i coraz to inne pachnidła, mężczyźni zajęli się ich fabrykacją, rozbudowując ją wnet w poważny dział przemysłu. Postępy nowo-

Dokończenie na str. 31-ej.



W kole: Piękna pani przy swej „baterji" flaszek i flakonów z perfumami.
Fot. Francis Fuerst.



Perfumy i dym z papierosa — oto mieszanina, która najlepiej przypomina nam postać pięknej kobiety.



Poniżej: W zapachach ulicy dominuje gryząca woń asfaltu, będąca wraz z zapachem spalonej benzyny najwnikliwszą w dużem mieście.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA SZCZAWIOWA NA ROSOLE. Garść drobnych liści szczawiowych opłókuje się, osącza na sicie i gotuje na rosole z wołowiny przez 10 minut. Do zupy tej podaje się jajka w koszulkach (pochée).

OPIEKANKI Z ZIELONEGO GROSZKU. Wyłuskany i wybrany groszek zsypuje się do ryneczki, dodaje łyżeczkę masła i bez dolewania wody dusi na wolnym ogniu do miękości, następnie fasuje się go przez sito. Drobno uszatkowaną cebulkę zasmaża się na łyżce masła, miesza z purée groszkowem i łyżeczką siekanego kopru lub zielonej pietruszki. Ostudzoną masę miesza się z całem jajem (na pół litra groszku) i paru łyżkami tartej bułki, wyrabia łyżką na jednolite ciasto, z którego formuje się podłużne wałeczki, które opanierowane w jajku i bułeczce szybko się osmaża na maśle. Opiekanki te podawać można jako danie dla siebie, z ostrym sosem lub też jako dodatek do duszonej marchewki, do szpinaku lub kalarepki.

FASOLKA SZPARAGOWA NA KWAŚNO. Żółtą lub zieloną fasolkę szparagową obiera się z włókien, parzy wrzącą wodą i przelewa zimną, poczem kraje się ją w skośne kawałki i gotuje w małej ilości wody. Do miękkiej już jarzyny wraz z troszką wody dodaje się łyżeczkę masła, dusi w niem przez chwilę i zaprawia ósemką śmietany, rozkłócona z łyżeczką mąki. Wkońcu dodaje się troszkę soku cytrynowego, szczyptę soli i cukru, podgotowuje i wydaje do wszelkich mięs prędkich. Jako danie jarskie z ziemniaczkami lub ryżem, jarzyna ta jest również bardzo smaczna.

KALAFJOR PO WŁOSKU. Ugotowany w słonej wodzie kalafjor układa się na masłem natartej ogniotrwałej salaterce, posypuje parmezanem i siekaną szynką, otacza duszonym na sypko ryżem i polewa całą potrawę gęstym sosem pomidorowym bez zasmażki. Do tego celu, dusi się bez wody, tylko na maśle 25 dkg pomidorów, przeciera i polewa kalafjor wraz z ryżem, poczem wstawia się potrawę do gorącego piecyka na 15 minut. Dla osób, którym pomidory nie są dozwolone, można potrawę polać szklanką śmietany, rozkłóconą z łyżeczką mąki i parmezanem lub siekanego kopru.

KAPUSTA KISZONA NA PRĘDCE Z ŚMIETANĄ. Cienko uszatkowaną główkę białej kapusty układa się w kamiennym garnku i zalewa słoną wodą, scedzoną z ugotowanych ziemniaków. (Można ziemniaki odcedzać wprost na kapustę). Garnek lekko nakryty, stawia się na piecu, gdzie ma pozostać 3—4 dni, po którym to czasie kapusta nabędzie winnego kwasu i gotowa będzie do użycia. Gotuje się ją wraz z kwasem i podprawia zasmażką z słoninki lub masła i cebulki. Zasmażkę zalewa się szklanką kwaśnej śmietany. Kapusta musi się z zasmażką jeszcze przez 10 minut dusić. Kapusta w ten sposób przyprawiona nadaje się do każdego pieczystego. Podana na jarsko tylko z ziemniaczkami lub kluseczkami stanowić może danie dla siebie. Jako dodatek do mięsa kapustę przyrządzić można bez śmietany, tylko na zasmażce.

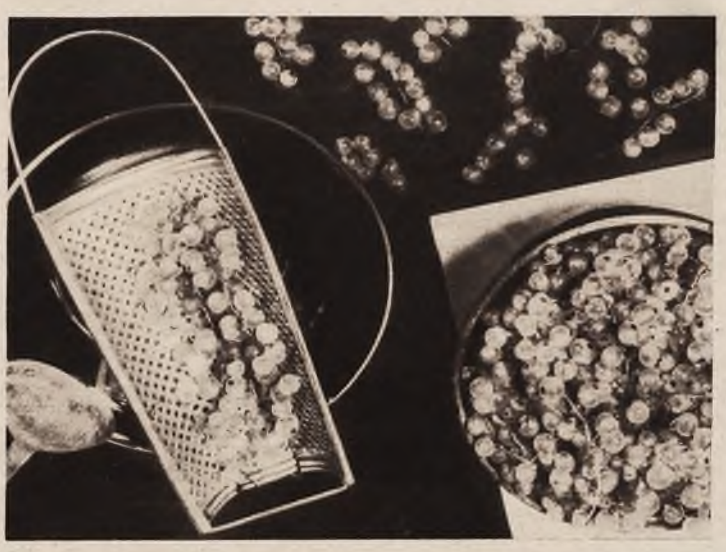
SZCZAW podany jako purée do mięsa mało jest znany. Jest to bardzo smaczny i pikantny dodatek do kotletów i cielęcej pieczeni. Sposób przyrządzania jest łatwy. Opłókane liście szczawiu gotuje się przez kilka minut. Miękkie sieka się lub przeciera przez sito, miesza z zasmażką rozrzedzoną słodką śmietanką, dodaje szczyptę soli i cukru, zagotowuje i wydaje. Dla aromatu dodać można odrobinę gałki muszkatułowej lub skórki cytrynowej — nie jest to jednak konieczne.

MROŻONA KAWA. 8 dkg mokki bardzo cienko mielonej, wsypuje się na 1/4 litra gotującej wody, przykrywa, odstawia z ognia i po 5 minutach przelewa przez maszynkę. Pół litra kremówki zagotowuje się i miesza z kawą. 4 żółtka uciera się z 12 dkg cukru tłuczonego z główki (nie mączki) i dolewa po trosze kawę z śmietanką, ubijając miotełką lub spiralką od piany, poczem stawia się garnczek na ogniu i ubija, aż zacznie gęstnieć, wtedy odstawia się z ognia, ubijając dalej, aż ostygnie. Krem zupełnie zimny wlewa się do maszynki od lodów i zamraża w zwykły sposób. Ilość cukru może być zwiększona lub zmniejszona, zależnie od upodobania.

RATAFJA, czyli nalewka owocowa, sporządzana bywa z najlepszego spirytusu, do którego wkłada się po troszce z każdego owocu, wzgl. jagód (prócz **czarnych!**), jakie się prawie ukazują. Owoce daje się zawsze w równej ilości, aby aromat z żadnego owocu specjalnie się nie wybijał. Konglomerat tych wszystkich aromatów stanowi właśnie przedziwny smak, powiedziałabym, wdzięk ratafji. Nalewka stać powinna w **ciemnem** miejscu, np. w kredensie, przez kilka miesięcy, poczem scedza się ją z owoców do flaszek, korkuje i lakuje flaszki, które się przechowuje stojąco w piwnicy. Po jakimś czasie należy skontrolować, czy się nie utworzył osad, w którym to wypadku należy czystą wódkę zlać, a zmętniałą resztę przefiltrować przez bibułę filtrową. Ratafja używana bywa niecukrzona, jak koniak, lub też słodzić ją można gotowanym cukrem na rosolis lub bardziej słodko na likier.

Sc. Ko.

PRAKTYCZNE DROBIAZGI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Dobra gospodyni powinna o ile możności wykorzystać każdy sprzęt w najpomysłowszy sposób: posiadając naprzykład w gospodarstwie tarełko można je użyć również jako prasy owocowej. W tym celu do wewnętrznej strony tarełka wkłada się owoce naprzykład, jak na zdjęciu, porzeczki i przeciera się je, wyciskając z nich sok, podczas gdy skórka i pestki zostają na tarełku.

Fot. Atlantic.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 32

Lipiec

31 dni



NIEDZIELA **31** Ignacego L.	Rosół mrożony z grzybkiem. Paszteciki mięsne. Pularda z jarzynkami. Mrożona kawa z biszkoptami. Kolacja: Pstrągi w galarecie.
Sierpień	
PONIEDZ. **1** Piotra w Ok.	Zupa szczawiowa na rosole. Sztuka mięsa z sałatką buraczkową. Wątróbka po wiedeńsku. Knedelki parzone z wiśniami. Kolacja: Fasolka szparagowa w śmietanie.
WTOREK **2** NPM. Anielsk.	Borówczanka z grzankami. Kalafior po włosku. Kurczę w papryce z kluseczkami. Sałatka z surowych owoców. Kolacja: Gołąbki z ryżem duszone w barszczu.
ŚRODA **3** Znal. św. Szcz.	Zupa jarzynowa z płatkami. Omlety z grzybkami. Pieczeń wieprzowa z kapustą kiszoną na prędce. Placek kruchy z owocami. Kolacja: Budyń jarzynowy.
CZWARTEK **4** Dominika	Zupa szczawiowa z ryżem. Włoska kapusta z gruszkami. Kotlety siekane z szpinakiem i mizerją. Pierożki z jagodami. Kolacja: Rizotto z groszkiem.
PIĄTEK **5** PM. Śnieżnej	Zupa śmietanowa na perłówce. Marchewka z opiekankami z groszku. Biała ryba smażona w cieście z ziemniaczkami. Krem ryżowy z malinami. Kolacja: Raki w śmietanie.
SOBOTA **6** [Przemien]. P.	Rosół lub chłodnik owocowy. Hachée z mięsa rosołowego. Kaczka z duszoną kapustą. Placek drożdżowy z owocami. Kolacja: Jaja w śmietanie.



HOCKI-KLOCKI

WRÓG POSTĘPU.



— Jedno naciśnięcie guzika i w przeciągu pięciu minut całe mieszkanie jest posprzątane!

— Jeszcze czego, żeby moja stara przez cały dzień nie miała nic innego do roboty, jak uganiać po modniarkach... Rys. Charlie.

Rozwiązania z Nru 30-go.

IMIENINY ALI.

Dziewczynki siedziały w następującym porządku: Ala, Rózia, Iza, Basia, Paulinka, Ewa, Roma, Janko, Mania i Pola.

BOOB = 3003; BA = 37; a więc iloczyn wynosi I I I I I I

PRZY TELEFONIE.

Istnieje 28 możliwych kombinacyj od 01448 do 4789 włącznie.

KROWA KOZIOŁ I GĘŚ.

Krowa i kozioł zjadają $^{1}/_{45}$ trawy dziennie, krowa i gęś $^{1}/_{60}$, a kozioł i gęś $^{1}/_{90}$, czyli, że krowa zjada $^{5}/_{360}$ trawy dziennie, kozioł $^{3}/_{360}$, a gęś $^{1}/_{360}$. Wobec tego razem zjedzą $^{9}/_{360}$ trawy dziennie ($^{1}/_{40}$). Z całej łąki zjedzą trawę w ciągu 40 dni — bo założyliśmy, że w międzyczasie trawa nie rośnie.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

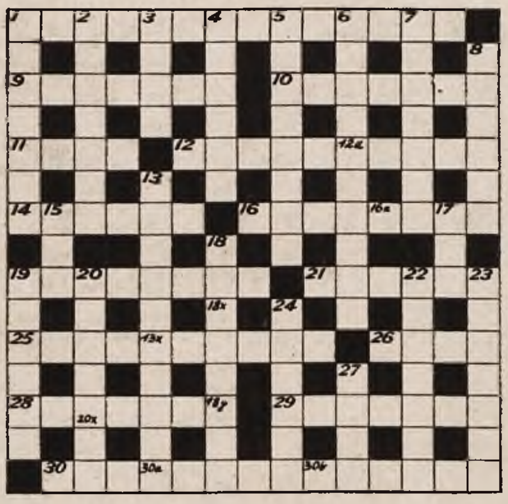
POMARAŃCZE.

Pan Wróbel kupił pomarańcze. „Po czemu płaciłeś?" — zapytała żona, oglądając krytycznem okiem owoce. „Po 60 gr. za 5 sztuk" — odparł mąż.

„Jeśli nie umiesz kupować, to nie kupuj" — wzruszyła ramionam i pani Wróblowa. „Wczoraj kupiłam pomarańcze w cenie 70 gr. za 6 sztuk. Był to ten sam gatunek, a zapłaciłam o 5 gr. mniej niż ty".

Ile pomarańczy kupił pan Wróbel?

KRZYŻYKÓWKA.



Znaczenie wyrazów: poziomo: 1) miasto na półwyspie bałkańskim, 6) duży związek, 9) forma gospodarki państwowej, 10) imię carycy, 11) znane stowarzyszenie w Polsce, 12) kolor (odwr.), 12-a) miasto powiatowe w woj. Warsz., 14) zwolennik, 16) przenosi wiadomości, 16-a) kwiat (odwr., 19) staropolskie nazwiska, 21) radosne wyrażenie czci, 25) jako rzecze... 26) lek, 28) przyprawa, 29) każdy się tam znajdzie (3 przyp.), 30) utwór, 30-a) państwo w Indjach (odwr.), 30-b) część ubioru (odwr.);

pionowo: 1) część świata, 2) działanie chemiczne, 3) miara siły, 4) wynik natarczywego proszenia, 5) mają w Polsce arcybiskupa, 6) może najważniejszy wynalazek ub. stulecia, 7) nieuzasadnione wymagania, 8) wędlina, 13) bardzo ważne w przemyśle drzewo, 15) rzeka w Niemczech, 17) pysk, 18) karta, 19) trzeba się go wystrzegać, 20) pijany w obcym języku, 22) ptak znany myśliwym, 23) niezbędne dla fotografa (odwr.), 18x) owad, 24) tani materjał, 13x) podkop, 27) związek (odwr.), 20x) spór (odwr.), 18x) agencja prasowa w Polsce.

ZAWODOWA UPRZEJMOŚĆ.



— Cóż to, kłaniasz się krowie?

Weterynarz: — Pst, to przecież moja najlepsza klientka! Rys. Charlie.

ĆWICZENIE LOGICZNE.

Jeżeli zakładamy, że następujące zadanie jest prawdziwe: „Jeśli Jan może głosować, to ma więcej niż 21 lat", to które z następujących zdań muszą być koniecznie prawdziwe?

1. Jeśli Jan nie może głosować, to Jan nie ma więcej niż 21 lat.
2. Jeśli Jan ma więcej niż 21 lat, to może głosować.
3. Jeśli Jan nie ma więcej niż 21 lat, to nie może głosować.
4. Jan może głosować, albo nie ma ponad 21 lat.
5. Jan nie może głosować, albo ma więcej niż 21 lat.
6. Jan może głosować, albo ma więcej niż 21 lat.
7. Jan nie może głosować, albo nie ma więcej niż 21 lat.

Dokończenie ze str. 29-ej.

czesnej chemji ułatwiły rozkwit przemysłu perfumeryjnego, pozwalając na syntetyczne zestawienie najpiękniejszych kwiatowych zapachów, co wydatnie przyczyniło się do potanienia ich produkcji.

— — — — — — — —

Ale istnieje i czarna magja zapachów — zapachów przykrych, przyziemnych a uporczywych, od których trudno się ustrzec i uwolnić. Nie mają one nic wspólnego z symfonją woni przyrody czy wytwornych perfum. A jednak te właśnie codzienne, realistyczne zapachy towarzyszą nieuchronnie życiu mieszkańca mista, idąc za nim krok w krok w jego zajęciach, rozrywkach — docierając nawet do jego mieszkania.

Od chwili przebudzenia nos nasz, ten wrażliwy receptor, donosi nam coraz to nowe wrażenia węchowe: apetycznie pachnie przyniesiona na tacy kawa, lecz jednocześnie uderza nas niemiły zapach pasty do butów, którą gorliwa Marysia zbyt obficie natarła nasze obuwie. Łazienka wita nas zapachem pary, przesyconej wonią mydła i lavendy; wdychujemy go z przyjemnością. Udajemy się do pracy w towarzystwie zapachu świeżej farby drukarskiej, emanującym z gazety, którą sąsiad nasz czyta w tramwaju, na ulicy owiewa nas wyziew benzyny automobilowej i świeżo terowanej asfaltowej nawierzchni ulicy.

Winda wita nas swojskim zapaszkiem smaru i niewietrzonej a ciasnej przestrzeni, telefon przemawia do naszego powonienia zapachem ebonitu, akta na biurku wydzielają stęchłą, szarą i przykrą, jak wszelki przymus woń stęchlizny.

Wracamy do domu. Z narożnej restauracji „zalatuje" kapustą i tłuszczem, z okien suteryn bucha zapach mydlin i pary, a na progu mieszkania uderza nas ostra woń pasty do podłogi (znowu generalne porządki?). Obiad — to istny cocktail zapachów, ale nie skarżmy się na nie, gdyż podniecają nasz apetyt i zaostrzają smak potraw.

Kawiarnia wita nas zapachem zimnego dymu tytoniowego, kawy i gazet — nocny bar pachnie koniakiem, perfumami kobiet i gorącym, dusznym zapachem rozgrzanych ciał ludzkich — teatr to woń szminki, lakieru i kurzu, drzemiącego odwiecznie w aksamicie obić i foteli...

Rafinowani „mistrze powonienia" twierdzą nawet, że każde miasto ma swój odrębny zapach. Zdaniem Dekobry Paryż np. pachnie benzyną automoblową i fiolkami, Berlin cygarem i bzami, Londyn dymem i ambrą, Marsylja rybami i piżmem. Możnaby wyszukiwać bez końca podobne asocjacje węchowe, studjować gamy zapachów odpowiadających poszczególnym momentom naszego życia, aż wkońcu dojdziemy do przekonania, że powonienie jest może najczulszym naszym odbiornikiem zmysłowym, dostarczającym nam wrażeń wprawdzie bardzo subtelnych i pozornie niematerjalnych, lecz w najwyższym stopniu zróżniczkowanych i sugestywnych. W delikatnym, nieuchwytnym niemal zapachu tai się często przemożna moc wspomnienia, szeregi daleko idących nastrojowych asocjacji, poruszających głęboko naszą wrażliwość i wyobraźnię. Tak, jak trudnoby nam było w pełni odczuć piękno przyrody bez wrażeń węchowych, tak i wyobrażenia psychiczne wiążą się ściśle z zapachami, najistotniejszemi sprzymierzeńcami magicznej siły wspomnienia...

E. M.

O tak! — to warto

przeczytać... zobaczyć... usłyszeć...



NOWE KSIĄŻKI.

Stanisław Krzyżewski: „Bronka". J. Przeworski, Warszawa.

Napisać powieść o życiu dziewczyny ulicznej postanowił sobie nieznany dotąd literaturze naszej debiutant, **Stanisław Krzyżewski.** Postanowienie wprowadził w czyn — i tak powstała **„Bronka"**, którą ostatnio rzuciło na rynek **Wydawnictwo J. Przeworski,** opatrzoną entuzjastyczną przedmową **Jarosława Iwaszkiewicza.** Podobny temat powieści może być zrobiony w formie sensacyjnej i snobistycznej bujdy, albo też w czysto literackiej formie, opartej na psychologji. Ale do tego drugiego rodzaju powieści o dziewczętach ulicznych — a takich powieści pełno jest przecież w literaturze światowej — trzeba nietylko uczuciowości, jaką obdarzony jest autor „Bronki", nietylko umiejętnego niejednokrotnie podpatrzenia psychologicznego — trzeba przedewszystkiem wielkiego talentu. Jarosław Iwaszkiewicz zapewnia nas w przedmowie, że Stanisław Krzyżewski talent ten posiada i to w znacznej mierze — trudno nam jednak po przeczytaniu tej bądź co bądź ciekawej powieści, wierzyć na słowo nawet znakomitemu autorowi „Zmowy mężczyzn" i „Pasyj błędomierskich". Mamy wrażenie, że autor „Bronki" powinien ją napisać dopiero... za parę lat, a talent swój przedtem wygimnastykować na tematach innych, nienasuwających takich trudności fabuły i literackości utworu. Niemniej jednak „Bronka" ma pewne walory powieściowe, pomimo znacznego nagromadzenia wad w konstrukcji, stylu i charakterach. Książka to przejmująco smutna i szkoda, że nie wiemy, czy opiera się — a względnie w jakiej mierze opiera się na fantazji i pomysłowości autora. Gdyby oparta była wyłącznie na prawdzie, byłaby dokumentem, wołającym o radykalną zmianę ponurych stosunków i nieżyciowych praw, „regulujących" dotychczas u nas dziedzinę prostytucji.

w. z.

E. Morski: „Ryże bogi". Bibl. „Promu", Poznań.

Grupa poznańskich poetów „Prom", poza czołowym swym męskim przedstawicielem — Przyłuskim i kobiecym — Odlanicką, pochwalić się może jeszcze innemi talentami. Nieraz czytało się tu i ówdzie przykre słowa o Poznaniu, jakoby był jałowy pod względem literackim. „Prom" tymczasem zaprzecza temu niezgodnemu istotnie z prawdą twierdzeniu i co pewien czas przedstawia skąpej grupie interesujących się jeszcze w Polsce poezją osób jakiś nowy talent, który debiutuje w **„Bibljotece Promu"**, w serji starannie wydawanych tomików. **Eugenjusz Morski** jest jednym z tych poetów „Promu", na którego barkach spoczywa również honor poetycki tej grupy. I nie zawodzi. **„Ryże bogi"** stanowią książkę piękną. Uderza w tych wierszach czerstwy ton, surowo rzeźbione słowo przy wielkiej zamaszystości formy, śmiały rytm, swoboda zwrotki, brak wszelkiego przymusu wersyfikacyjnego, namiętność i rozmach, gdzieniegdzie leśmianowska tematyka, pozatem szczera oryginalność. Zasadniczą cechą Morskiego jest dotkliwe odczucie przyrody, przefiltrowane przez głęboką wrażliwość poetycką, stapiane umiejętnie z wrażeniami erotycznemi. W tej dziedzinie powstają bodaj najsilniejsze jego utwory. Zacytujmy pierwszy lepszy — tak, jak książka się otworzyła:

W topolach noc, szemrząca głąb,
iskrami z nieba spada czas
i pianą bzów uderza w dom
nadbiegła zimna fala gwiazd.
Cienie kołyszą się wzdłuż ścian
jak czarne pióra w drżeniu wód,
drży w otoczeniu ciemnych plam
kamieni przeźroczysty chłód.
Tak wyglądają łany snów,
gdy szeptem po nich stąpa wiatr,
gdy w słowach niema więcej słów,
gdy pod nogami płynie świat.

W obfitym tym zbiorze znajdujemy także, jakby próbę „chłopskiego poematu" („Naprzełaj"), wnoszącą nowe wartości do tej dziedziny, wydanej, jak dotąd, przeważnie chłopomanom, którzy wogóle wsi nie widzieli, albo literackim prowokatorom. Jednem słowem „Ryże bogi" stanowią nietylko pozycję bibljograficzną dla Morskiego — stanowią one pozycję w współczesnej naszej poezji.

w. z.

NA SCENIE.

WARSZAWA. Teatr Malickiej wystawił komedję muzyczną **„Na fali eteru"**, opartą na farsie Leone'a Przeróbki dokonał L. Brodziński. Muzykę opracował J. Lawina-Świętochowski. Role główne przypadły pp. Igo Symowi, Ewie Stojowskiej i Inie Benicie. Reżyserował p. R. Zawistowski, zagrał on także rolę jednego z amantów. Z innych wykonawców trzeba wymienić pp. Nestorównę, Kielarskiego i Modrzewskiego.

W Teatrze Kameralnym wystawiono komedję Andrzeja Birabeau p. t. **„Zbyt liczna rodzina"** w reżyserji p. Krystyny Severinówny. Wykonawcy sztuki: Marja Miedzińska, Pelagja Relewicz-Ziembińska, Helena Łopuszańska, J. Gozdecka, Edward Gliński, Zb. Blichiewicz, W. Ziembiński.

POZNAŃ. W Teatrze Polskim wystawiono sztukę amerykańskiego autora, E. Sheldona pt. **„Historja dwu serc"**. W roli głównej ujrzeliśmy p. Elżbietę Łabuńską i Roberta Boelkego. Z innych wykonawców trzeba wymienić pp. Bogusławskiego, Czarnecką i Jaworskiego. Reżyserja — p. W. Czengery, dekoracje p. Z. Szpingier.

KRAKÓW. W dalszym ciągu gościnnych występów warszawskiego teatru Ateneum na scenie im. Słowackiego — ujrzeliśmy **„Ludzi na krze"** Wernera. Sztukę tę grano w Krakowie dwukrotnie; najpierw wystawił ją Teatr Miejski, następnie (przed rokiem) zaprezentował Jaracz ze swoim zespołem. Jednak dopiero obecnie mieliśmy pełną obsadę warszawską tej sztuki z Ewą Bonacką w roli jednej z córek.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

Niedziela, 21 lipca.

9.15 Regjonalna transmisja z Nowogródka (nabożeństwo i reportaż).
16.30 „Gość z Ameryki" — słuchowisko.
17.05 Recital śpiewaczy Elisabeth Wilde.
18.30 „W tyskim ogródku" — podwieczorek przy mikrofonie.
21.00 „Ta-joj" — wesoła audycja ze Lwowa.
22.00 „Trubadur" — reportaż operowy.

Poniedziałek, 1 sierpnia.

16.00 Koncert rozrywkowy z Łodzi.
16.45 „W królestwie miljonów słoni" — felieton.
18.10 Pieśni Verdiego w wyk. J. Borczowskiej.
19.30 „Wisłą do polskiego morza" — koncert rozrywkowy.
21.10 Koncert rozrywkowy w wyk. Ork. Rozgł. Wileńskiej.

Wtorek, 2 sierpnia.

16.00 Orkiestra salonowa M. Winowskiego i M. Wróblewskiego.
17.00 Muzyka taneczna.
18.10 Koncert z Krzemieńca — Transmisja z Muzycznego Ogniska Wakacyjnego.
19.40 „Z kraju kwitnącej wiśni" — koncert rozrywkowy.
21.102 Z albumu „Śląskiej Pozytywki" — audycja z Katowic.
22.00 Egon Petri i Erica Morini — koncert z płyt.

Środa, 3 sierpnia.

16.00 Orkiestra smyczkowa Zw. Muzyków Chrześcijan.
17.00 Muzyka taneczna.
18.10 Recital skrzypcowy Eugenji Umińskiej.
19.05 Recital śpiewaczy Zofji Massalskiej.
19.35 „Morskie powiewy" — koncert rozrywkowy.
21.10 „Chopin a polska ziemia" — VI aud. „Żal i bunt".
22.00 Koncert wieczorny w wyk. Orkiestry Symfonicznej P. R.

Czwartek, 4 sierpnia.

16.00 „Wisłą do polskiego morza" — koncert Kapeli F. Dzierżanowskiego na Oksywiu w Gdyni.
17.00 Muzyka taneczna.
18.10 Piotr Czajkowski: „Romeo i Julja" — uwertura.
18.25 „Tajfun" — słuchowisko.
19.00 Lekka muzyka organowa. Transmisja z Londynu.
19.40 „Echa przeszłości" — koncert rozrywkowy.
21.10 „Wieczorem" — koncert muzyki lekkiej.

Piątek, 5 sierpnia.

16.00 Kwintet salonowy Stefana Rachonia.
17.00 Muzyka taneczna.
18.10 Utwory na dwa fortepiany — koncert z Katowic.
19.00 Recital śpiewaczy Stefana Witasa.
19.30 „Humor i piosenka w Legjonach" — koncert rozrywkowy.
21.10 Muzyka taneczna w wyk. Ork. Rozgł. Lwowskiej.
22.00 Polska muzyka kameralna.

Sobota, 6 sierpnia.

16.00 Koncert rozrywkowy. Transmisja z Chojnic.
17.00 Polska muzyka salonowa w wyk. Zesp. Pawła Rynasa.
18.10 Recital skrzypcowy Wacława Niemczyka.
19.15 „Poezja Legjonów" — kwadrans poetycki.
19.30 „Żołnierze" — audycja chóralna ze Lwowa.
21.10 2 suity Marjana Rudnickiego — koncert Ork. Symf. P. Radja.
22.00 Godzina niespodzianek.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.